



NR 7–8/2021

SKALPEL

BIULETYN WOJSKOWEJ IZBY LEKARSKIEJ

ISSN 1230-493x

Nakład 4010 egz. (egzemplarz bezpłatny)



W NUMERZE:

Wielka wakacyjna krzyżówka / Piechotą do lata

Na kolanach przed walczącą Warszawą / Konferencja wojskowych lekarzy dentystów

Lekarz w służbie ICCS / Żary – inwestycja w wojskową służbę zdrowia





A droga długa jest...

Tak zaczyna się piosenka zespołu Akurat. I tytuł i nazwa zespołu są absolutnie adekwatne do panującej nam obecnie sytuacji w kraju. Rozmowy na szczęblu Ministerstwa Zdrowia i sejmowej Komisji Zdrowia to zawsze jest wielka niewiadoma, a najczęściej okazuje się, że akurat w tej ważnej chwili, ktoś czegoś nie może zrobić. Naczelna Izba Lekarska jest wciąż w drodze do osiągnięcia porozumienia w ważnych dla środowiska kwestiach i nawet gdy myślimy, że to już nastąpi za najbliższym zakrętem, to droga się wcale tam nie kończy. Teraz idzie

„Nowy Ład”, który raczej nie jest dla nas, bo wcale nie nowy, ale na pewno z czymś niekoniecznie fajnym się kojarzący. Trzeba więc podążać drogą dalej, walczyć o swoje prawa i prawa zawodów nam najbliższych, bo chyba tylko jeden wspólny front jest w stanie coś zmienić.

W tle walki na najwyższym szczęblu toczą się te mniejsze, bardziej swojskie, o płace i warunki zatrudnienia już w samych szpitalach i innych placówkach pracujących dla systemu ochrony zdrowia i tam częściej udaje się coś ugrać.

Nasza rzeczywistość jest jeszcze inna, bo nasi „mundurowi” idą w Polskę i tam realizują swoje marzenia wg. zasad wojskowo – lekarskich, czyli zgodnie z wytycznymi Departamentów Kadr i Wojskowej Służby Zdrowia i na pewno bez żadnych konsultacji z nami, choć dzięki nam mają wszystkie przywileje w JW... a reszta, czyli wojskowi emeryci? Dość twardo stoją na nogach i z reguły pracują na swoim. Trud-

no jest wszystkich połączyć jednym celem, a tak byłoby najlepiej.

Tymczasem reforma biura dobiega końca, nowe osoby już na stanowiskach, reszta jeszcze trochę poczeka i zaczniemy nowe otwarcie, na pewno z nowym rokiem będziemy już po.

Teraz na zakończenie kolejna przypomnijka – WYBORY IX Kadencji! Nie oddajmy pola, wybierzmy się, tak jak chcecie i tak jak możecie, ale wybierzmy się. Ten numer dotrze do Was już po części zgłoszeniowej, ale nie mam jakby możliwości przewidzieć wyników zgłoszeń kandydatów, liczę więc na Waszą inicjatywę i wyobraźnię oraz wolę pracy dla zmian. Czekamy na Was, jako ta nasza, Wojskowa Izba Lekarska!

Wakacyjną sentencją niech się stanie myśl Menandera:

Nawet cień przyjaciela starczy, aby uczynić człowieka szczęśliwym.

Wasz Prezes
ppłk rez. lek. **Artur Płachta**



SKALPEL

nr 7–8/2021

WYDAWCA:

Wojskowa Izba Lekarska
ul. Edwarda Jelinka 48
01-646 Warszawa
e-mail:
wojsko@hipokrates.org
www.wojskowa-il.org.pl
tel:
22 621 12 11
22 621 04 93

Konto WIL:

PKO BP S.A., IX O/Warszawa
50 1020 1097 0000 7802 0001 6741

Redaktor naczelny:

Jacek Woszczyk
j.woszczyk@gmail.com
tel. 602 702 038

Redakcja Skalpela:

redakcjaskalpela@gmail.com

Rada redakcyjna:

Artur Płachta
Marzena Mokra-Krupowies
Jerzy Aleksandrowicz
Jan Błaszczak

Kolegium redakcyjne:

Jacek Woszczyk
Mariusz Goniewicz
Kazimierz Janicki
Konrad Maćkowiak
Janusz Wasilewski

Fot. na okładkach I i II:

Jacek Woszczyk

Opracowanie graficzne, skład, łamanie i druk:

LM Promotion

www.LMPromotion.pl

Tel. 663 664 440

e-mail: biuro@LMPromotion.pl

Nakład: 4010 egz.

ISSN 1230–493x

Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmian redakcyjnych w nadsyłanych tekstach.
Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść listów do redakcji, ogłoszeń i reklam.

Spis treści

Szpalka Prezesa	1
Posiedzenie Prezydium Rady Lekarskiej WIL	3
Posiedzenie Rady Lekarskiej WIL	4
Posiedzenie Prezydium Rady Lekarskiej WIL	4
Z redakcyjnej poczty	5
Veni, vidi, vinum (cz. XXXI)	6
Wizyta u Nestora	8
Żary – Inwestycja w Wojskową Służbę Zdrowia	10
„...na kolanach przed walczącą Warszawą...”	12
Wielka wakacyjna krzyżówka	17
XIV Konferencja Naukowo-Szkoleniowa Wojskowych Lekarzy Dentystów	18
Z kart historii Wojskowej Akademii Medycznej (cz. IX)	20
Lekarz w służbie w ICCS (cz. IV)	24
Piechotą do lata	30
Wspomnienie / Zachowajmy Ich w naszej pamięci ppłk dr n. med. Janusz Wejgert 22.05.1935–01.10.2020	32

WOJSKOWA IZBA LEKARSKA (www.wojskowa-il.org.pl)

Prezes RL WIL:	ppłk rez. lek. Artur Płachta
Wiceprezesi RL WIL:	ppłk rez. dr n. med. Stefan Antosiewicz ppłk w st. spocz. prof. dr hab. n. med. Eugeniusz Dziuk ppłk rez. dr hab. n. med. Mariusz Goniewicz ppłk rez. lek. dent. Marzena Mokra-Krupowies
Sekretarz WIL:	ppłk rez. dr n. med. Piotr Jamrozik
Zastępca Sekretarza WIL:	ppłk rez. lek. dent. Jacek Woszczyk
Skarbnik WIL:	gen. bryg rez. dr n. med. Piotr Dziegielewski
Rzecznik Odpowiedzialności Zawodowej:	ppłk w st. spocz. prof. dr hab. n. med. Jan Błaszczak
Przewodniczący Sądu Lekarskiego WIL:	ppłk rez. dr n. med. Jerzy Aleksandrowicz
BIURO WIL (wojsko@hipokrates.org)	
Dyrektor Biura WIL:	Edyta Klimkiewicz 22 621 04 93 22 621 12 11 wew. 103
Sekretariat	Bogusława Różycka 22 621 04 93 22 621 12 11 wew. 102
Główna księgowa:	Dominika Sałapa 22 621 04 93 22 621 12 11 wew. 111
Rejestr Lekarzy:	Edyta Klimkiewicz 22 621 04 93 22 621 12 11 wew. 103 fax wew. 104, kom. 793 830 360
Doskonalenie zawodowe:	Anna Mroczek kom. 793 830 361
Praktyki prywatne:	Bogusława Różycka 22 621 04 93 22 621 12 11 wew. 102 kom. 793 830 360
Składki członkowskie:	Katarzyna Stankiewicz 22 621 04 93 22 621 12 11 wew. 107 kom. 793 830 362
Biuro Sądu Lekarskiego:	Bogdan Sieradzki 22 621 04 93 22 621 12 11 wew. 110
Biuro RZOZ:	Beata Staniszevska tel./fax.: 42 664 43 52

Posiedzenie Prezydium Rady Lekarskiej WIL

w dniu 21.05.2021 r.

W posiedzeniu Rady Lekarskiej Wojskowej Izby Lekarskiej wzięło udział 18 jej członków, Przewodniczący Sądu Lekarskiego WIL, Jerzy Aleksandrowicz, pełniący obowiązki dyrektora biura Edyta Klimkiewicz i mecenas Andrzej Niewiadowski. Spotkanie odbyło się w formie hybrydowej.

Obrady Rady Lekarskiej otworzył Prezes Artur Płachta który przedstawił porządek posiedzenia i omówił swoją działalność od poprzedniego posiedzenia Rady. Zwrócił uwagę na zaskarżenie przez Ministerstwo Zdrowia uchwały NRL o przyznawaniu praw wykonywania zawodu dla lekarzy obcokrajowców spoza Unii Europejskiej. Potwierdził też, że Ministerstwo Finansów nie wyraziło zgody na przesunięcie terminu wprowadzenia kas fiskalnych on-line. Stwierdził także, że nowy program ogłoszony przez obecny rząd pod nazwą Polski Ład uderzy w małe jednoosobowe działalności gospodarcze, a właśnie w takiej formie najczęściej pracują lekarze i lekarze dentyści.

W następnym punkcie posiedzenia Rada Lekarska omówiła projekty regulaminu organizacyjnego biura WIL oraz regulaminu wynagradzania osób funkcyjnych oraz pracowników biura WIL. Po dyskusji i wprowadzeniu zmian w proponowanych regulaminach Rada Lekarska podjęła:

1. Uchwałę w sprawie uchwalenia Regulaminu Organizacyjnego Biura WIL, przy trzech osobach wstrzymujących się.
2. Uchwałę w sprawie wynagradzania osób funkcyjnych oraz osób wykonujących prace na rzecz WIL, przy dwóch głosach wstrzymujących się.

W następnym punkcie posiedzenia, na wniosek kol. P. Jamrozika, podjęto jednogłośnie 28 uchwał w sprawie dokonania wpisów do rejestru praktyk, skreśleń i zmian adresu.

Podjęto także jednogłośnie uchwałę w sprawie wydania duplikatu prawa wykonywania zawodu lekarzowi, członkowi WIL.

Kolega S. Antosiewicz przedstawił wniosek o zwrot kosztów lekarzowi za zakup pomocy naukowych. Rada Lekarska podjęła jednogłośnie uchwałę o zwrocie kosztów.

Następnie Rada zaakceptowała wnioski o przyznanie punktów edukacyjnych uczestnikom szkoleń organizowanych przez Wojskowy Instytut

Medycyny Lotniczej /XIV Konferencja Naukowo-Szkoleniowa Wojskowych Lekarzy Dentystów/ oraz Centrum Kształcenia Podyplomowego, Doskonalenia Zawodowego i Symulacji Medycznej Wojskowego Instytutu Medycznego (cykl 9 kursów).

Następnie Rada Lekarska podjęła jednogłośnie uchwałę w sprawie dofinansowania XIV Konferencji Naukowo-Szkoleniowej Wojskowych Lekarzy Dentystów, która odbędzie się w Juracie w dniach 28–30.05.2021 r.

Sprawy finansowe przedstawił kol. P. Dzięgielewski. Rada Lekarska podjęła uchwałę w sprawie:

- przyznania zapomogi w związku ze śmiercią lekarza-członka WIL – 1 uchwała (jednogłośnie).

Następnie Rada jednogłośnie podjęła uchwałę w sprawie aktualizacji dokumentacji opisującej przyjęte przez WIL zasady (politykę) rachunkowości.

W następnym punkcie posiedzenia wytypowano przedstawiciela WIL do komisji konkursowej na stanowisko pielęgniarki/pielęgniarsza oddziałowe(j)/(go) w Oddz. Chirurgii urazowo-ortopedycznej 107. Szpitala Wojskowego z Przychodnią SPZOZ w Wałczu – kol. Jana Markowskiego.

Kolega A. Płachta omówił sprawy bieżące. Przeprowadzono szkolenie z RODO wśród personelu Biura WIL. Administrowaniem stroną i uaktualnieniem BIP zajmie się informatyk zatrudniany przez WIL.

W punkcie wolne wnioski omówiono wniosek organizatora V Jubileuszowej Konferencji Naukowo-Szkoleniowej Młodych Lekarzy Sił Zbrojnych o przyznanie punktów edukacyjnych oraz dofinansowania. Rada odłożyła decyzję do czasu uzupełnienia przez organizatora wymaganych dokumentów.

Rada zdecydowała także o zakupie dwóch laptopów z pełnym zabezpieczeniem, przystosowanych do pracy biurowej.

Po wyczerpaniu porządku obrad Prezes Artur Płachta zamknął posiedzenie RL WIL.

ppłk rez. lek. dent. **Jacek Woszczyk**

Posiedzenie Prezydium Rady Lekarskiej WIL

w dniu 25.05.2021 r.

W posiedzeniu Prezydium Rady Lekarskiej Wojskowej Izby Lekarskiej wzięło udział 8 jego członków. Spotkanie odbyło się w formie zdalnej z wykorzystaniem systemu wideokonferencji. Obrady Prezydium otworzył Prezes RL WIL Artur Płachta. Po zatwierdzeniu porządku obrad przystąpiono do omówienia treści stanowiska uchwalonego przez Prezydium OIL w Łodzi i Prezydium OZZL Regionu Łódzkiego w sprawie minimalnych gwarantowanych wynagrodzeń zasadniczych dla lekarzy specjalistów w placówkach państwowej ochrony zdrowia z dnia 17 maja 2021 roku. Prezydium RL WIL postanowiło poprzeć ww. stanowisko, podobnie jak pozostałe izby okręgowe.

Następnie omówiono zagadnienie zmian kadrowych w biurze WIL. Prezydium podjęło decyzję o zwołaniu nadzwyczajnego posiedzenia RL WIL na dzień 31.05.2021 roku w trybie zdalnym. Powodem jest delikt prawny uchwalonych na ostatnim posiedzeniu uchwał dotyczących funkcjonowania biura.

Po wyczerpaniu programu Prezydium kol. A. Płachta zamknął posiedzenie.

ppłk rez. lek. dent. **Jacek Woszczyk**

Posiedzenie Rady Lekarskiej WIL

w dniu 31.05.2021 r.

W posiedzeniu Rady Lekarskiej Wojskowej Izby Lekarskiej wzięło udział 18 jej członków, dyrektor biura WIL, Edyta Klimkiewicz i mecenas Andrzej Niewiadowski. Spotkanie odbyło się w formie hybrydowej.

Obrady Rady Lekarskiej otworzył Wiceprezes RL WIL, Eugeniusz Dziuk, który przedstawił porządek posiedzenia. Po jego zatwierdzeniu przystąpiono do realizacji programu posiedzenia. W dalszym ciągu posiedzenia przewodnictwo objął Prezes RL WIL, Artur Płachta.

Rada Lekarska jednogłośnie przegłosowała uchwałę anulującą uchwały o sygnaturach 2643/21/VIII i 2644/21/VIII z dnia 21.05.2021 roku.

Następnie omówiono stanowiska innych izb lekarskich w sprawach wynagrodzeń lekarzy oraz poparcia protestu pielęgniarek i położnych. Rada Lekarska WIL poparła, przy jednym głosie wstrzymującym się, stanowiska przyjęte przez NRL i okręgowe izby lekarskie w sprawie wynagrodzeń lekarzy. Także, przy jednym głosie wstrzymującym się, poparto stanowisko w sprawie protestu pielęgniarek i położnych.

W następnym punkcie posiedzenia, na wniosek kol. P. Jamrozika, podjęto jednogłośnie 19 uchwał w sprawie dokonania wpisów do rejestru praktyk, skreśleń i zmian adresu.

Na wniosek Skarbnika RL WIL, kol. P. Dziegielewskiego, Rada Lekarska podjęła decyzję:

- przyznania zapomogi w związku ze śmiercią lekarza-członka WIL – 1 uchwała (jednogłośnie)
- przyznania zapomogi na pokrycie kosztów leczenia lekarza-członka WIL – 1 uchwała (jednogłośnie)
- zwrotu utraconych zarobków w związku z udziałem lekarza, członka WIL, posiedzeniu Sądu Lekarskiego WIL – 1 uchwała (jednogłośnie).

Następnie na wniosek R. Theusa Rada Lekarska jednogłośnie przyjęła uchwałę w sprawie ustalenia liczby mandatów na Zjazd Lekarzy Wojskowej Izby Lekarskiej IX Kadencji 2022–2026.

Na wniosek kol. J. Woszczyka, Rada Lekarska jednogłośnie wyraziła zgodę na rozpoczęcie prac zmierzających do wprowadzenia zmian na stronie internetowej WIL w celu jej udoskonalenia.

Po wyczerpaniu porządku obrad Prezes Artur Płachta zamknął posiedzenie RL WIL.

ppłk rez. lek. dent. **Jacek Woszczyk**

Z redakcyjnej poczty...

Dotarł do naszej izby list od pacjentki, adresowany do Prezesa RL WIL. W obecnych czasach, gdzie fala hejtu, z różnych stron, zalewa pracowników ochrony

zdrowia taki list zasługuje na szczególną uwagę. Dlatego też wychodząc naprzeciw życzeniu autorki listu i zgodnie A. Plachty, postanowiliśmy wydrukować poniższy list.

Redakcja Skalpela

Łódź, 17 maja 2021 r.

Szanowny Pan
Artur Plachta

Prezes Rady Lekarskiej
Wojskowej Izby Lekarskiej

ul. Edwarda Jelinka 48
01-646 Warszawa

Szanowny Panie Prezesie

Na Pana ręce pragnę złożyć podziękowania dla dr n. med. Adama Miecznika (spec. rehabilitacja medyczna 9565443), który jest członkiem Wojskowej Izby Lekarskiej.

W swoim niekrótkim już życiu (63 lata) wielokrotnie przebywałam w szpitalach, leczyłam się w poradniach specjalistycznych i korzystałam z pomocy lekarzy wielu specjalności. Miałam okazję poznać wielu mądrych, kompetentnych, empatycznych i wrażliwych lekarzy. Jednak dopiero teraz spotkałam lekarza posiadającego jednocześnie wszystkie wymienione cechy. Dr n. med. Adam Miecznik jest bardzo kompetentnym, dokładnym i profesjonalnym lekarzem. Jestem pod wrażeniem nie tylko jego fachowej wiedzy ale też sposobu jej przekazywania, trafności oceny stanu zdrowia pacjenta i doboru sposobu leczenia. Pan doktor rozwiewa wątpliwości pacjenta i służy pomocą nawet poświęcając swój prywatny czas. Kierowana przez niego Poradnia rehabilitacyjna to zespół dobrze zorganizowanych fachowych fizjoterapeutów.

Powiedzieć „dziękuję” to za mało dlatego zdecydowałam się napisać do Pana Prezesa. Może w Wojskowej Izbie Lekarskiej istnieje system wynagradzania/wartościowania pozytywnych postaw zrzeszonych w niej lekarzy. Jeżeli tak to Adam Miecznik niewątpliwie zasługuje na wyróżnienie.

Z poważaniem,

Dw. Dr n. med. Adam Miecznik

Veni, vidi, vinum (cz. XXXI)

Warto myśleć nie tylko przy wyborze wina

Wiosna zawsze powoduje u mnie nastrój radości. Może nawet wywołuje stan hedonizmu, potrzeby korzystania z wszystkich radości życia pełnymi garściami. Jedną z nich jest, obecnie mało popularne, myślenie, analizowanie i wyciąganie własnych wniosków. Jest dla mnie rzeczą oczywistą, że warto czytać, konfrontować się z poglądami innych, bez personalnych podtekstów i dyskutować w sposób wyważony, a zarazem merytoryczny o wszystkim.

To nie znaczy, że czyjeś poglądy muszą nas przekonać i że wszyscy musimy mówić jednym głosem. Ważne jednak, żeby nasze poglądy były spójne, nie były przepisywaniem, czy cytowaniem (często bez podania źródła) poglądów jedynie słusznych, bez własnych doświadczeń i wiedzy w danej dziedzinie. Przecież nie wszyscy są specjalistami od wszystkiego.

Musimy też zawsze pamiętać, że powinniśmy mieć szacunek dla adwersarza, bez względu na ich światopogląd, bez ich obrażania i zbędnych insynuacji. Nasze poglądy nie muszą być przecież stałe, wręcz przeciwnie, powinny ewoluować, ale tylko pod wpływem logicznej, mądrej i przemyślanej argumentacji, a nie steku ładnie zapakowanej, wielokrotnie powtarzanej propagandy.

Ja sam jestem świeżo po lekturze kilku wartych uwagi pozycji. Przypomniałem sobie ostatnio „Proces” Franza Kafki i „Człowieka w futerale” Antoniego Czechowa. Jednak przeczytałem też „Baśń o węzowym sercu” Radka Raka, czy też „Usterkę na skraju galaktyki” jednego z moich ulubionych współczesnych mistrzów krótkiej formy – Etgara Kereeta. Oczywiście czytam też prasę, choćby Skalpeła, czy też Ferment (ostatni numer tego periodyku o winie jest poświęcony przyszłości).

Oczywiście, wnioski wyciągane z przytoczonych przeze mnie lektur mogą być niezwykle różne i szczerze zachęcam Was do przeczytania i wyciągnięcia własnych. Jednak, ja sam też chciałbym zaproponować na początek kilka moich subiektywnych przemyśleń.

Przede wszystkim nic nie jest czarno-białe i nie istnieje jedyna słuszna prawda, która pozostaje niezmienna. Ponadto wyjątkowo trudno jest ludziom wyciągać wnioski z przeszłości, a nasza przyszłość jako ludzkości zależy od naszej inteligencji i determinacji w pracy nad poprawą świata, a nie od chwilowych partykularnych interesów. Wreszcie, umacniam się w przekonaniu, że jest nam trudno

oprzeć się władzy, a jeszcze trudniej mądrze ją wykorzystywać.

Jak widzicie, radość może mieć też oblicze zadumy, a nie tylko bezkrytycznych, życzeniowych i wymaginowanych prostych przyjemności...

Tym razem wspomnienia z WAM-u nie będzie. Jednak będzie coś więcej – podziękowanie od kapitana rezerwy (autora niniejszego tekstu) dla innego kapitana rezerwy – mojego przyjaciela z sąsiedniego pokoju 404. Mimo, że widzimy się rzadko, to Ryszard od 3 lat z regularnością szwajcarskiego zegarka recenzuje moje „wytwory”. To jego comiesięczne uwagi o artykułach, ale też o życiu i przeczytanych lekturach, inspirują mnie do dalszego pisania. Jest on też dla mnie skarbnicą wspomnień i to z nim uściślam to, jak ja pamiętam nasze młodzieńcze przygody, a jak on. Jedno jest pewne, bez niego nie powstałoby ponad trzydzieści felietonów.

Oczywiście, nie tylko Ryszard jest dla mnie inspiracją, ale wszyscy, którzy mnie czytają i wszystkim Wam też dziękuję za uwagi, które od Was usłyszałem. Traktuję je zawsze z dużym szacunkiem i są one dla mnie powodem do licznych przemyśleń. Przecież wszyscy wiemy, że jak mawiał Józef Tischner: „Są trzy prawdy: święto prawda, tys prawda i gówno prawda”. Włodzimierz Lenin stwierdził zaś, że „abstrakcyjnej prawdy nie ma. Prawda jest zawsze konkretna”.

Każdy z nas może wybrać sobie cytát. Ważne, żeby nasza prawda nie krzywdziła wyznawców innej prawdy, a tolerancja nie dotyczyła tylko ludzi o poglądach identycznych z naszymi.

Dlatego też dzisiaj będzie wybór dwóch prawd – dwóch win. Będzie białe prawie narodowe solaris oraz czerwone z obszaru cyrylicy, z Bułgarii – melnik.

Z solarisem, wyznawcy ortodoksyjno-narodowych poglądów mogą mieć częściowo problem, bo choć prawdą jest, że jest to odmiana w Polsce bardzo popularna i jedna z najczęściej uprawianych, ale pochodzi z Niemiec, a dokładnie z Fryburga Bryzgowijskiego, gdzie została stworzona jako odmiana mieszańcowa – hybryda międzygatunkowa w 1975 roku, a jej twórcą był Norbert Becker. Wśród jej przodków jest winorośl amurska.

Takie krzyżowanie winorośli szlachetnej z winoroślą amerykańską czy też azjatycką pozwala na powstawanie hybryd odpornych na choroby

grzybowe, czy też warunki klimatyczne, choćby występujące często w Polsce chłody i przymrozki.

Sam solaris na szerszą skalę do uprawy trafił w roku 2004. Obecnie można go spotkać w Niemczech, Polsce, Wielkiej Brytanii, Belgii czy nawet w krajach skandynawskich.

Jest to odmiana winorośli wysokoplenna, ale przy mądrym prowadzeniu i niższej wydajności daje wina bardzo dobre, szczególnie te młode jednoroczne. W związku z tym, że ma tendencje do gromadzenia cukru w gronach, daje wina z wyraźnym cukrem resztkowym, a można nawet z tej odmiany zrobić wina deserowe. W nosie i w ustach

daje wina o wyraźnych owocowych nutach, niekiedy też tropikalnych (znajdziemy tu ananasa czy banana), ale też bakalii.

Dość mocno schłodzone, na pewno urozmaici wasze letnie, lekkie posiłki, a i solo nie powinno was rozczarować. Kupując wina z tej odmiany od polskich producentów z całą pewnością przyczynicie się do rozwoju tej gałęzi polskiego rolnictwa, która choć bujnie się rozwija, nadal jest w naszym kraju na dorobku.

Drugie wino, które wam proponuję, to wino z kraju, który kojarzy się nam chyba nie najlepiej jakościowo, ale z całą pewnością sentymentalnie z Sophią, czyli z Bułgarią.

Historia uprawy winorośli na terenie tego kraju sięga mitologicznych czasów.

Dionizos właśnie w tym terenie geograficznym pojawił się pierwszy raz jako tracki bóg i stąd spektakularnie dołączył do greckiego panteonu. Przez wieki greckiej, rzymskiej, a potem już słowiańskiej i bułgarskiej państwowości był to znaczący obszar uprawy winorośli, aż po czasy tureckiej okupacji, która od roku 1393 na 500 lat zahamowała produkcję wina. W czasach nam bliższych, Bułgaria była dostawcą kiepskiej jakości produkowanego na masową skalę wina do wszystkich krajów demoludu.

Warto jednak przypomnieć sobie bułgarski trunk z winorośli o nazwie melnik. Winogrona te pochodzą z Niziny Trackiej, z okolic miasteczka o tej samej nazwie, w południowo-zachodniej części kraju tuż przy granicy z Grecją – najmniejszego bułgarskiego miasteczka liczącego jedynie kilkuset mieszkańców.

Melnik to czerwona odmiana winogron o małych jagodach z grubą skórką. Daje ono ekstraktywne wino o dobrej kwasowości i wyrazistych taninach. Dominują aromaty owocowe, szczególnie dojrzałej wiśni i czereśni, niekiedy z nutką tytoniu i korzennych przypraw. Idealnie nadaje się do dojrzewania w beczce,

która może poszerzyć spektrum doznań smakowych o wanilię i czekoladę. Idealnie nadaje się do tak ukochanych przez Polaków potraw z grilla.

Oczywiście szukajcie egzemplarzy tego wina w sklepach specjalistycznych, czy internetowych, gdyż tam jest większa szansa na znalezienie wina dobrego jakościowo, a przecież chodzi o to, żeby przypomnieć sobie bułgarskie wino, a niekoniecznie smak Sophii średniej jakości, choć wówczas i tak był to wyrób w polskich sklepach uchodzący za raczej ten z górnej półki.

Mam nadzieję, że udało mi się moimi propozycjami winnymi zająć wam cały dzień plenerowej zabawy. Czy z nich skorzystacie? To już zależy tylko od was. Macie wybór.

Takim więc właśnie akcentem, życzę wam udanego wakacyjnego odpoczynku, z dobrą książką, z kieliszkiem

wyśmienitego trunku w dłoni, w towarzystwie mądrych i ciekawych rozmówców. Życzę wam też otwierania się na inne światy, bo jak twierdzi (a ja się z nim zgadzam) Norman Davies „*Wiedza o niezwykle różnorodności obecnej w naszych światach najlepiej strzeże nas przed niesprawiedliwością stereotypów*”.

Przemysław Michna

XXXVI WAM

12.06.2021



Wizyta u Nestora

28 kwietnia 2021 roku mieszkający w Gdyni kmr dr Czesław Żebryk skończył 99 lat. Jubilatów odwiedzili: prezes Koła Lekarzy i Farmaceutów Stowarzyszenia Oficerów Marynarki Wojennej RP kmr lek. Zbigniew Jabłoński, kmr prof. dr hab. n. med. Romuald Olszański i pani Jadwiga Dęga (żona s.p. prof. Kazimierza Dęgi). Ze względów epidemicznych wszyscy byli w maseczkach (mimo, że już zaszczepieni). Złożyli jubilatowi życzenia wielokrotnego przekroczenia 100 lat zdrowia, szczęścia rodzinnego i spełnienia wszystkich marzeń.

Wzruszony Jubilat mimo osłabionego wzroku i słuchu w swobodnej rozmowie wspominał swoją drogę życiową wykazując znakomitą pamięć, dykcję i silny barytonowy tembr głosu. Zaczął od samego początku relacjonując opowieść od słów... „Urodziłem się w szpitalu” we „Wilnie przy ulicy Wilcza Łapa, jako pierwszy syn. Potem było jeszcze dwóch braci Zbyszek i Rysiek. Zbyszek był inżynierem, Rysiek budowniczym, młodszy, ale niestety zmarli wcześniej”.

Oto fragmenty wspomnień komandora doktora Czesława Żebryka.

„Studia rozpocząłem, wspomina nasz nestor, w 1940 roku w Uniwersytecie Wileńskim. W 1941 roku przyszli Niemcy i rozwiązali uczelnię. Dalszą naukę kontynuowałem w Akademii Lekarskiej w Gdańsku od października 1945 roku, gdzie znalazłem się w ramach repatriacji. Dyplom uzyskałem w 1951r. Pracę rozpocząłem w 3. Klinice Akademii Medycznej kierowanej przez profesora Jakuba Pensona, późniejszego wieloletniego rektora gdańskiej akademii. Pracowałem tam ponad półtora roku. Niestety powołano mnie razem z wieloma innymi lekarzami na przeszkolenie do wojska. Kierownik kursu w Łodzi stwierdził: „Macie szczęście..., bo „marszał” Konstanty Rokossowski powołał was do zawodowej służby wojskowej”. Nie było „zmiłuj się”, mimo że profesor Penson pojechał do Warszawy, osobiście spotkał się z marszałkiem Rokossowskim mówiąc, że wojsko zabiera mu najzdolniejszego asystenta. Na te słowa „marszał” stwierdził: „W wojsku też są potrzebni zdolni ludzie”.

Karierę wojskową rozpocząłem w 88. Pułku Artylerii Przeciwlotniczej, następnie w 118. Szpitalu Garnizonowym w Koszalinie. Przyznaję, że po ponownej interwencji profesora Pensona liczyłem na szybki powrót do jego kliniki. Jednak na zwolnienie ze służby wojskowej liczyć nie mogłem. Po pięciu latach szpi-

tal przekazano cywilnej służbie zdrowia. Większość lekarzy odeszło z wojska. Ja postanowiłem zostać pod warunkiem, że otrzymam przydział do Szpitala Marynarki Wojennej w Oliwie. Zwolnił się tam etat starszego asystenta na oddziale wewnętrznym. Doktor Taper (pamiętam to nazwisko) został w Belgii i mnie przyjęto na jego miejsce. Oczywiście chciałem wrócić do kliniki profesora Pensona, ale ten stwierdził z żalem, że po tylu latach jest to niemożliwe, bo „wszystkie miejsca w klinice zajęły kobiety”.

W szpitalu oliwskim ordynatorem interny był dr Ludwik Gruszecki – kontynuował swoją opowieść dr Żebryk. Po dwóch latach pracy pogratulował mi etatu starszego asystenta, którym byłem od początku. Wiedziałem, że ordynator nie interesował się sprawami kadrowymi. Za to był doskonałym klinicystą i dobrze mi się z nim pracowało. Napisałem wspólnie i opublikowaliśmy kilka prac naukowych. Charakterystyczne w jego zachowaniu było czepianie się drobnostek nienależących do sedna pracy w oddziale, np. kurz na półce z książkami lub ciekający kran w gabinecie.

Następnym ordynatorem był kmr dr med. Adam Sadkiewicz. Również doskonały lekarz, a takimi drobiazgami się nie przejmował. Kiedy zwolnił się etat przewodniczącego Wojskowo-Morskiej Komisji Lekarskiej, którym był dr Stanisław Ferster, ja przeszedłem z oddziału wewnętrznego na jego miejsce.

Był to początek lat siedemdziesiątych. W międzyczasie zrobiłem specjalizację I stopnia w dziedzinie chorób wewnętrznych oraz I i II stopnia z Medycyny Morskiej. Jako przewodniczący Komisji brałem udział, jako prelegent w Międzynarodowych sympozjach o tematyce orzecznictwa wojskowo – morskiego w Leningradzie, Rostoku i Warnie. Wykłady i dyskusje toczyły się oczywiście w języku rosyjskim. Wówczas był Układ Warszawski i ten język był obowiązujący. Odbylem również wiele kursów lekarskich z różnych dziedzin medycyny m.in. ochrony radiologicznej, chorób zakaźnych w Warszawie, medycyny morskiej i tropikalnej w Gdyni (cywilnej) i wojskowej u prof. Augustyna Dolatkowskiego.

W tym okresie lekarze wojskowi kierowani byli w ramach morskiej specjalizacji na rejsy statkami m.in. na Batorym. Widocznie nie było chętnych lekarzy cywilnych. Odwiedziłem wiele portów prawie na wszystkich kontynentach. Poza Bałtykiem był



Spitsbergen, Archangielsk, Reykiawik, Oslo, porty w Kanadzie, Nowy Jork. Następnie Morze Śródziemne: Livorno, południowa i północna Francja. Z Hiszpanii przywiozłem kafelki do dziś upiększające łazienkę mojego mieszkania w Gdyni. Z kolei w Maroku odwiedziłem kolegę z roku Stanisława Kołodzieja, również byłego asystenta doktora Gruszeckiego. Stanisław samochodem, nie pamiętam marki, nazwałem go ze względu na zewnętrzny wygląd „blaszakiem”, obwioził kilku nas po nawet dość odległych okolicach tego kraju. Pamiętam również rejs na Maderę i opowieści przewodnika o pobycie na tej wyspie marszałka Piłsudskiego i legendę, że Król Władysław IV Warneńczyk nie zginął w bitwie, tylko przybył na tę wyspę na rekonwalescencję zabrany przez Hiszpanów. Jest też legenda, że był on ojcem Krzysztofa Kolumba.

Podczas tych rejsów zbierałem materiał do pracy doktorskiej „O wpływie stref czasowych na zdrowie marynarzy”. Niestety stan wojenny uniemożliwił jej ukończenie. Cóż... samo życie.

Służbę zawodową skończyłem po 31 latach w 1983 roku – finalizuje interesującą opowieść Komandor Czesław Żebryk – jako przewodniczący Wojskowo-Morskiej Komisji Lekarskiej z siedzibą w Gdańsku Oliwie. Ale pracowałem do 80 roku życia w spółdzielni lekarskiej w Gdyni. Wtedy Kierownik Spółdzielni dr Gołębiowski stwierdził... „Nam już staruszków nie potrzeba, są młodszy i oni przejmą

stery”. A swoją drogą – dodał w czasie tej dyskusji prof. Olszański – kiedy dr Gołębiowski skończył lat 80 nie przeszkadzało mu, aby nadal kierować ww. Spółdzielnią.

Pani Halina Żebrykowa, z zawodu lekarz dentysta tylko kilka lat młodsza od męża, wiele lat pracowała w Służbie Zdrowia MW RP w Przychodni Specjalistycznej przy Pułaskiego w Gdyni. Była również bardzo wzruszona odwiedzinami w ich mieszkaniu członków Koła Lekarzy i Farmaceutów MW RP. Tym bardziej, że obydwoje państwo Żebrykowie przeżyli razem sporo ponad 70 lat, a wcześniej kiedy pozwalało na to zdrowie i kondycja uczestniczyli w spotkaniach koła w siedzibie Stowarzyszenia w Klubie MW RP Riwiera w Gdyni. Obecnie kontaktują się z kolegami z koła nie tylko telefonicznie, bo chętnie przyjmują ich w swoim mieszkaniu. Dwie córki państwa Żebryków Krystyna i Barbara, mimo, że mieszkają poza granicami (Niemcy i Szwecja), bardzo często odwiedzają rodziców. Obecnie ze względu na ograniczenia pandemiczne była tylko jedna, p. Barbara, ale prawie codziennie z Krystyną kontaktują się telefonicznie.

Z żalem opuszczaliśmy gościnne progi Jubilata, obiecując częstsze kontakty i konieczne spotkanie za rok w stulecie urodzin pana komandora doktora Czesława Żebryka.

Tekst i zdjęcia kmdr lek. **Zbigniew Jabłoński**

Żary – Inwestycja w Wojskową Służbę Zdrowia



Blok operacyjny chirurgii

Po czterech latach budowy i intensywnych pracach organizacyjnych największa i najbardziej kosztochłonna inwestycja w 105. Kresowym Szpitalu Wojskowym w Żarach doczekała się swojego zakończenia. Do istniejącego już budynku nr 5, został dobudowany czterokondygnacyjny, nowoczesny obiekt, o powierzchni ok. 3500 m² – w pełni monitorowany, zabezpieczony cyfrowo i z własnym, niezależnym zasilaniem. Nowa infrastruktura zapewnia powierzchnię dla oddziałów oraz bloków operacyjnych, pracowni diagnostycznych oraz centralnej sterylizatorni.

W dniu 2 marca 2021 r. uroczystego otwarcia nowego budynku dokonali Dyrektor Departamentu Wojskowej Służby Zdrowia MON dr Aurelia Ostrowska oraz Komendant 105. Kresowego Szpitala Wojskowego z Przychodnią SPZOZ płk lek. med. Artur Lipczyński.

Nie bylibyśmy w stanie podjąć się tej inwestycji, gdyby nie ogromne wsparcie Ministerstwa Obrony Narodowej, które na ten cel przekazało 95% wartości inwestycji, a jej koszt to blisko 30 mln zł. To przedsięwzięcie to nie tylko polepszenie warunków lokalowych i sprzętowych, wzrost jakości świadczo-

nych usług medycznych dla pacjentów naszego regionu, to przede wszystkim inwestycja w wojskową służbę zdrowia, zapewnienie bezpieczeństwa i wzmocnienie Sił Zbrojnych RP na zachodzie kraju.

Doktor Aurelia Ostrowska, Dyrektor Departamentu Wojskowej Służby Zdrowia MON podkreśliła, że 105. Kresowy Szpital Wojskowy w Żarach jest bardzo ważnym punktem na mapie kraju. Nie tylko ze względu na bliskość jednej z największych dywizji pancernych w Polsce, ale także jako uczestniczący w zabezpieczeniu medycznym żołnierzy wojsk sojuszniczych i zapewniła, że „nie jest to ostatnia tego typu pomoc, a wręcz przeciwnie, szpital w Żarach będzie mógł liczyć na dalsze wsparcie, ponieważ potencjał jest ogromny”.

– Pamiętajmy, że szpital w Żarach to jest bardzo ważny punkt na mapie Polski. Nie tylko dlatego, że zajmujemy się leczeniem pacjentów – jedna trzecia mieszkańców województwa lubuskiego leczy się tutaj, w naszym szpitalu, ale też dlatego, że Żary i okolice są to miejsca stacjonowania wojsk sojuszniczych z którymi współpracujemy, a także naszych żołnierzy z Sił Zbrojnych. (...) Jest to bar-



Płk lek. Artur Lipczyński Komendant 105. Kresowego Szpitala Wojskowego z Przychodnią SPZOZ w Żarach

dzo ważny moment, bardzo ważna inwestycja. Ze swojej strony mogę powiedzieć, że mam nadzieję, że jest to początek kolejnych inwestycji w tym miejscu. Szpital ma ogromny potencjał, więc trzeba ten potencjał wykorzystać – powiedziała dr Aurelia Ostrowska, Dyrektor DWSZ.

Poświęcenia dokonał Biskup Diecezji Zielonogórsko – Gorzowskiej Tadeusz Lityński, który w ciepłych słowach, skierowanych do pracowników szpitala, podziękował im za trud i opiekę nad chorymi, za poświęcenie i wytrwałość oraz życzył wiele sił do dalszej pracy. W spotkaniu udział wzięła również p.o. Zastępcy Dyrektora ds. służb mundurowych LOW NFZ Pani Marta Cal, która wskazała, że inwestycja w centralizację oddziałów zabiegowych będzie wpływała na polepszenie jakości i bezpieczeństwa usług medycznych.

W nowym budynku od marca br. swoją działalność rozpoczął Oddział Chirurgii Ogólnej z Pododdziałem Chirurgii Onkologicznej i Urologii. Podczas wizytacji o możliwościach bloku operacyjnego w leczeniu chirurgicznym oraz o planach dalszego rozwoju chirurgii w naszej placówce opowiadał Kierownik oddziału lek. Zdzisław Ogrodowczyk, specjalista chirurgii ogólnej. M.in. współpraca w zakresie bloków operacyjnych chirurgii i ortopedii, podgląd sal operacyjnych za pomocą kamer to nie tylko możliwość organizacji szkoleń, bez zakłócania pracy specjalistom, i prezentacji dla szerszego

grona odbiorców, to przede wszystkim budowanie nowoczesnych standardów i bezpieczeństwa na najwyższym poziomie.

O prowadzeniu leczenia pacjentów pozostających w stanach ciężkich, w śpiączkach farmakologicznych i niepewnie rokujących mówił wieloletni Ordynator Oddziału Anestezjologii i Intensywnej Terapii lek. Zdzisław Łacny, specjalista anestezjologii i intensywnej terapii, który już niebawem rozpocznie pracę w nowej lokalizacji.

Oprócz oddziałów w nowej lokalizacji swoje miejsce znalazła centralna sterylizatornia, a już wkrótce uruchomione zostaną także pracownie endoskopowe.

– Jest to moment historyczny. Te oddziały będą służyły naszym pacjentom, pacjentom Ziemi Lubuskiej, przez wiele lat. Staraliśmy się ze wszystkich sił, aby te oddziały wyposażać w jak najlepszy sprzęt, który będzie spełniał wszelkie kryteria, do leczenia nawet tych najtrudniejszych chorób – mówi płk lek. Artur Lipczyński, Komendant 105. Kresowego Szpitala Wojskowego.

Inwestycja zrealizowana została ze środków MON w ramach zadania: Rozbudowa budynku nr 5 o Oddział Chirurgii Ogólnej etap I i II.

mgr Justyna Wróbel-Gądek
Rzecznik Prasowy 105. Kresowego Szpitala
Wojskowego z Przychodnią SPZOZ w Żarach

„...na kolanach przed walczącą Warszawą...”



1 sierpnia 2021 r. upływa już 77. rocznica wybuchu powstania w Warszawie, najbardziej krwawego i okupionego największą ilością ofiar starcia z udziałem Polskich Sił Zbrojnych podczas II wojny światowej. Upływający czas, który sprzyja zblężaniu ran, nie spowodował wygaszenia wielkiego narodowego sporu o sens, koszt i odpowiedzialność dowódców za ten bezprzykładny w historii sposób realizacji swoich celów politycznych. Ma jednak znaczący wpływ na świadomość osób wychowywanych w duchu patriotycznym i zainteresowanych historią, gdyż sprzyja stopniowemu poszerzaniu perspektywy poprzez pozyskiwanie wiedzy, zapoznanie się z nowymi publikacjami, materiałami źródłowymi, czy nawet możliwość kontaktu z bezpośrednimi uczestnikami tego wydarzenia.

Jako bardzo młodzi ludzie, harcerze Hufca ZHP im. Szarych Szeregów, doskonale uzbrojeni na kursie zastępowych w wiedzę nie tylko o Orłętach Lwowskich, ale przede wszystkim o chłopakach z „Zośki” i „Parasola”, 1 sierpnia po całonocnej podróży pociągiem znajdowaliśmy się w Warszawie. W naszym

małym miasteczku na Dolnym Śląsku w tym dniu panował tylko spokój i błogie lenistwo, co wyjątkowo kontrastowało ze stolicą, gdzie zobaczyliśmy na Powązkach niemal święto narodowe, choć przecież wówczas nieoficjalne, oddolne. Nieprzebrane tłumy ludzi, w tym tysiące powstańców (nie członków Grup Rekonstrukcyjnych, tylko prawdziwych żołnierzy) z opaskami na rękach, głównie z literkami WP lub AK i nazwą zgrupowania czy oddziału, zdarzały się także, choć rzadziej, oznaczenia PAL, AL, NSZ. Nagle na żywo widzieliśmy naszych bohaterów, o których dokonaniach zaczytywaliśmy się we wspaniałych książkach („Zośka i Parasol”, „Pamiętniki batalionu Zośka”, „Byliśmy żołnierzami Parasola”, „Akcja pod Arsenalem” etc.), starszych już Pań i Panów, którzy wówczas jeszcze dziarsko uczestniczyli w uroczystościach. Było dla nas wielkim honorem i zaszczytem stanąć niemal ramię w ramię z legendarnym gen. Janem Mazurkiewiczem „Radosławem” (autograf mamy do dzisiaj), ale także innymi powstańcami, których pseudonimy znaliśmy na pamięć: „Świsłem”, „Leną”, „Kamą”, „Misiem” i setką

innych. W odróżnieniu od współczesnych rocznicowych celebracji, nie było wówczas tłumu dziennikarzy, tysięcy ochroniarzy i policjantów, lecz zjawiali się tylko ci, dla których świętym obowiązkiem stało się wyrażanie szacunku i czci poległym powstańcom. Prawdziwie niezapomniane chwile, które pozostaną z nami na zawsze. W tamtych czasach żałowaliśmy, iż nie było nam dane urodzić się wcześniej, bo oczami wyobraźni widzieliśmy się ubranych w panterki, idących z butelkami z benzyną na niemieckie czołgi bądź przecinających kabel goliata, co wydawało nam się wspaniałą przygodą. Gdy zaczęliśmy omawiać nasze marzenia, do rozmowy włączył się starszy Pan z opaską POS „Jerzyki”, który stwierdził, że nie mamy czego żałować, tylko powinniśmy się cieszyć, bo on przenigdy nie chciałby cofnąć się do czasu powstania, tylko „brud, smród, śmierć i zniszczenie”. Przez grzeczność i szacunek dla kombatanta nie polemizowaliśmy, lecz później „komisyjnie” uznaliśmy, że to jakiś „cienias z intendenty”, bo żaden chłopak z „Radosława” nie żałowałby udziału w powstaniu i na pewno z chęcią by powrócił, by jeszcze raz przeżyć „63 dni krwi i chwały”. O święta naiwności, na usprawiedliwienie wypadła wspomnieć, że u bardzo młodych nastolatków to chyba normalne.

W miarę upływu lat i zdobywania szerszego zasobu wiedzy zrozumieliśmy rzecz podstawową, iż należy oddzielić ocenę samego powstania w Warszawie, od oceny postawy powstańców i ludności cywilnej. W tym ostatnim przypadku, poza nielicznymi wyjątkami, należy z szacunkiem i czcią pochylić się nad bezprzykładnym bohaterstwem, poświęceniem, oddaniem sprawie powstańców oraz heroiczną postawą ludności cywilnej, która przeszła znacznie większą gehennę od wojska. Jedną z najpiękniejszych kart swej historii zapisali lekarze, pielęgniarki, sanitariuszki, noszowi stołecznej służby zdrowia, którzy pracując w skrajnie trudnych warunkach, bez odpowiedniej ilości leków i wyposażenia medycznego, przy bezpośrednim zagrożeniu własnego życia, ratowali zdrowie i życie mieszkańców stolicy. Straty w ciągu 63 dni działań bojowych wyniosły ponad 200 tysięcy zabitych. Bez heroicznego wysiłku wojskowego sanitariatu ilość ofiar byłaby znacznie większa. Trzeba podkreślić, że w czasie powstania straciło życie wielu pracowników służby zdrowia, w większości pielęgniarki i sanitariuszki gwałcone oraz bestialsko mordowane przez żołdaków m.in. z Brygady SS-Oberführera Oskara Dirlewangera czy ukraińskiego Legionu Wołyńskiego płk. Petro Diaczenki. Prawdziwymi sanitarnymi bastionami, które zasłużenie przeszły do legendy wojskowej służby zdrowia, były m.in. Szpital Ujazdowski, Szpital Maltański i wiele, wiele innych.

Nieco inaczej przedstawia się ocena gen. bryg. Tadeusza Komorowskiego „Bora” i jego decyzji o podjęciu walki w Warszawie w sierpniu 1944 r. Z detektywistyczną skrupulatnością i benedyktyńską pracowitością dokonał jej prof. Jan Ciechanowski, wybitny historyk, ale także powstaniec warszawski odznaczony dwukrotnie Krzyżem Walecznych. Słusznie przypominał on, że głównym celem dowódcy powinno być zwycięstwo, które należy zapewnić poprzez doskonałe zaplanowanie walki: przygotowanie żołnierzy, dobre wyekwipowanie, zapewnienie ewentualnego wsparcia z zewnątrz, wybranie momentu ataku w najbardziej dogodnej chwili. Przy wypracowywaniu, a następnie podjęciu decyzji o wybuchu powstania wszystkie te podstawowe zasady zostały zlekceważone, co jest karygodnym błędem i zaniechaniem dowódcy AK oraz jego sztabu. Warto przypomnieć, że plan „Burza” militarnie wymierzony w III Rzeszę, a politycznie w ZSRR, był zupełnie nieudaną próbą podważenia ustaleń naszych „wielkich sojuszników”, Wielkiej Brytanii, USA i ZSRR, którzy na konferencjach w Teheranie, a następnie Jałcie, poza plecami polskiego Rządu i łamiąc zasady Karty Atlantycznej, podjęli decyzję o pozbawieniu Polski jej Kresów Wschodnich z ewentualną częściową rekompensatą w postaci przejęcia wschodnich prowincji III Rzeszy, lecz z jednoczesną utratą suwerenności poprzez znalezienie się w sowieckiej strefie wpływów. Już pierwsze zbrojne wystąpienia Armii Krajowej w Wilnie, a następnie Lwowie, gdzie nasi żołnierze we współdziałaniu z Armią Czerwoną zdobyli swe miasta, lecz wkrótce zostali aresztowani przez NKWD, wskazywały jasno, że dla wielkich tego świata kłamka już zapadła, a opór spowoduje dalsze wyniszczenie biologiczne polskiego narodu, za którego racjami nie ujmie się nikt. Pomysł ujawniania się naszych władz i występowania w roli gospodarza przed wkraczającymi Sowietami okazał się zupełnie nierealistyczny i spalił na panewce. W marcu 1944 r. gen. T. Komorowski podjął słuszną decyzję o wyłączeniu z „Burzy” Warszawy celem uniknięcia zniszczenia stolicy i zaoszczędzenia cierpień mieszkańcom miasta, co było decyzją zrozumiałą i w pełni właściwą. Tym dziwniejsza wydaje się lipcowa zmiana tego postanowienia, szczególnie że dowódca miał pełną świadomość, iż wystąpienia w potężnych centrach polskości (Wilnie, Lwowie) zakończyły się pełnym fiaskiem. Wyszkołenie konspiracyjne żołnierzy AK w żadnej mierze nie odpowiadało standardom prawdziwego szkolenia wojskowego (z wyjątkiem zajęć sanitarnych), nie mówiąc już o doświadczeniu bojowym. Zaopatrzenie w broń i środki techniczne było na poziomie dramatycznym, szczególnie że nie planując walki



w stolicy całe uzbrojenie wysyłano do wschodnich okręgów, toteż Warszawa była w dużej mierze rozbrojona. Przed podjęciem decyzji o rozpoczęciu walki nie nawiązano żadnych kontaktów z Armią Czerwoną, co w oczywisty sposób wynikało z celów politycznych akcji, ale nie poinformowano także sojuszników brytyjskich, czyli nie zapewniono sobie przed rozpoczęciem działań żadnego wsparcia z zewnątrz. Decyzja o momencie rozpoczęcia walki podjęta była na podstawie fałszywych pogłosek i zdecydowanie przedwczesna. Trudno spodziewać się sukcesu, jeśli w taki amatorski sposób planuje się działania, licząc chyba na kolejny „cud nad Wisłą”, który jednak wówczas nie zaistniał. Właściwym komentarzem i oceną działań dowódcy AK są paradoksalnie słowa SS – Reichsführera Heinricha Himmlera, który na wieść o wybuchu walk w stolicy oświadczył Hitlerowi, że *„z historycznego punktu widzenia to, co robią Polacy, jest dla nas błogosławieństwem. Za pięć, sześć tygodni Warszawa, stolica, głowa, inteligencja narodu, który od siedmiuset lat zagradzał nam drogę na Wschód, będzie zgaszona”*. Powstanie zakończyło się całkowitą klęską, w ciągu 63 dni walk zginęło ponad 200 tysięcy mieszkańców Warszawy. Dla porównania Niemcy stracili 1570 zabitych i 9044 rannych, z czego jasno wynika, że na każdego zabitego hitlerowca przypada około 130 zabitych lub zamordowanych Polaków. Cała lewobrzeżna Warszawa legła w gruzach, bezpowrotnie straciliśmy ogromną ilość archiwaliów, dzieł sztuki

etc. Wypada zadać pytanie, czy kilku wysokich rangą żołnierzy może podejmować decyzję, których skutkiem jest zniweczenie dokonań wielu pokoleń Polaków? Czy za tego typu decyzje powinni ponosić odpowiedzialność, ale nie tylko przed Bogiem i historią?

Współczesne rocznice powstania to dla nas przede wszystkim gorzka refleksja na temat kosztów błędnych decyzji, a jednocześnie zasmucenie stopniem mitologizacji, która niezwykłym bohaterstwem żołnierzy stara się przestłonić błędy i nieroztropność dowódców. W starożytnym Rzymie łuki triumfalne stawiano wielkim zwycięzcom, by opiewać ich czyny i na tym wzorcu budować przyszłe pokolenia wielkich dowódców. W naszym kraju wzorzec ten został zupełnie odwrócony i na piedestał wynosi się przegranych, którzy jednak zdaniem twórców tej niezbyt roztropnej mitologii, odnieśli zwycięstwo, co prawda tylko duchowe i to w ocenie jedynie zwolenników tego typu alternatywnej wersji historii. Co ciekawe, trafia ona chyba bardziej do głów młodych ludzi niż rzetelna wiedza, gdyż badając sporą grupę osób starających się o przyjęcie do Wojsk Obrony Terytorialnej stwierdziliśmy, że na pytanie kto zwyciężył podczas powstania w 1944 r., usłyszeliśmy iż Polacy. Ironicznie można by rzec, że dla poprawienia samopoczucia narodowego być może warto rozciągnąć propagandę mitotwórczą także na inne wydarzenia historyczne, być może wygraliśmy także kampanię wrześniową 1939 r.,



Kilkaset tysięcy zabitych, doszczętnie zrujnowana Warszawa, straszliwe cierpienia całej ludności, zniszczony dorobek kulturalny kilku wieków i wreszcie całkowite zniszczenie ośrodka oporu narodowego, co dziś szalenie ułatwia zadanie sowietyzacji Polski... [Notatka sporządzona przez gen. W. Andersa 25.05.1945 r. opublikowana w książce J. Ciechanowskiego pt. „Wielka Brytania i Polska. Od Wersalu do Jałty”, Pułtusk-Warszawa 2011, s. 258–261]. Warto głęboko przemyśleć te słowa wybitnego polskiego dowódcy (znacznie gorszego jako polityka), ze swej strony możemy dodać tylko jedno zdanie: Cześć i Chwała bohaterom Powstańcom oraz ludności cywilnej stolicy, a przede wszystkim załogom wszystkich szpitali i punktów sanitarnych do końca heroicznie spełniających swe zadanie ratowania życia i zdrowia ludzi.

Dr n. med. **Zbigniew Kopociński**,

Dr n. med. **Krzysztof Kopociński**

105. Kresowy Szpital Wojskowy z Przychodnią
SPZOZ w Żarach

a piorunującym sukcesem zakończyło się powstanie styczniowe 1863–1864 czy listopadowe 1830–1831? W polskiej historii mamy wiele wspaniałych i niekwestionowanych sukcesów (Obrona Lwowa 1918, Powstanie Wielkopolskie 1918–1919, III Powstanie Śląskie 1921, wojna 1920), trudno zrozumieć dlaczego ich nie promujemy, skupiając się na ekspozycji naszych największych tragedii narodowych?

1 sierpnia, jak co roku, zapalimy znicz przed tablicą pamięci starszych kolegów, płk. dr. Jerzego Rowińskiego i mjr. lek. Zbigniewa Badowskiego, którzy po 1945 r. budowali nasz obecny 105. Kresowy Szpital Wojskowy, a wcześniej ratowali życie wielu ludzi w powstańczych szpitalach polowych w sierpniu i wrześniu 1944 r. Oni wywiązali się ze swoich obowiązków w sposób wzorowy, toteż podobnie jak innym członkom powstańczego sanitarium oraz wszystkim powstańcom, a także ludności cywilnej, należy im się szacunek i wieczna pamięć.

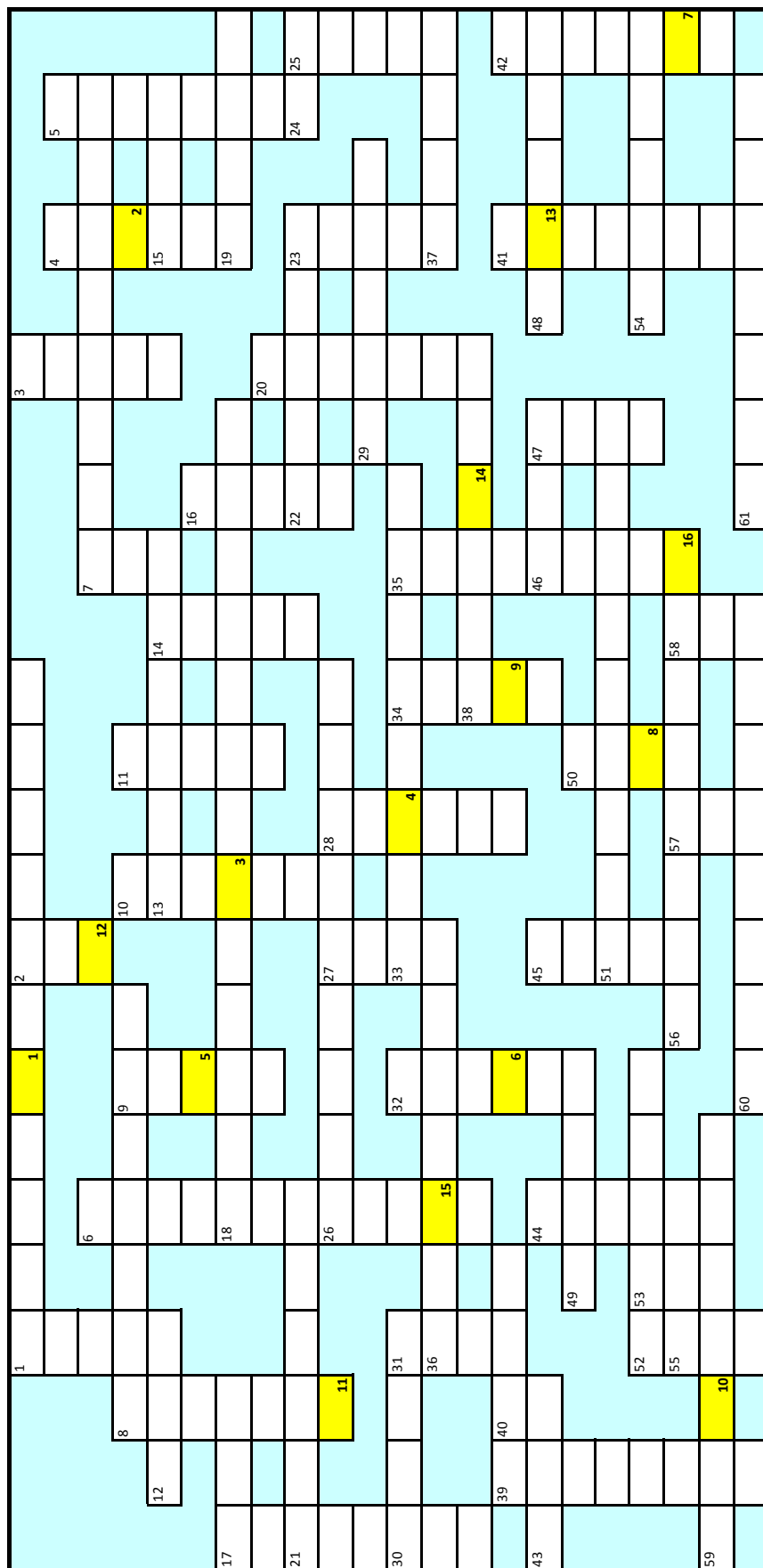
W ciągu ponad czterdziestu lat przeszliśmy długą drogę od bezkrytycznego uwielbienia Powstania Warszawskiego do stanowiska, które chyba najdobitniej wyraził w maju 1945 r. gen. Władysław Anders: „Co do powstania w Warszawie mam wręcz odwrotną opinię. Jestem na kolanach przed walczącą Warszawą, jednak sam fakt powstania w Warszawie uważam za zbrodnię (...) gen. Komorowski i szereg innych osób stanie na pewno przed sądem za tak straszliwie lekkomyślne i niepotrzebne ofiary.



Tablica ku czci lekarzy-oficerów powstańców warszawskich w 105. Kresowym Szpitalu Wojskowym w Żarach odsłonięta w 2015 r., autorzy projektu i pomysłodawcy K. Z. Kopocińscy (fot. Z. Kopociński)

POZIOMO	PIONOWO
1. Maksymilian, jeden z czołowych przywódców Wielkiej Rewolucji Francuskiej 7. Miejsce stacjonowania wojska 8. Twórca obrazu „Hołd pruski” 12. Prezent 13. Awdiejew, aktor i piosenkarz 15. Centrum cyklonu 17. Spód naczynia 18. Np. ginekologia 19. Bóg egipski czczony pod postacią byka 21. „... krymskie” Adama Mickiewicza 22. Rzecz utracona 24. Symbol chemiczny złota 26. Banalny 29. Film - debiut reżyserki Olafa Lubaszenki 30. Organizacja będąca wsparciem MO 33. Ofiarował Jezusowi mirrę 36. Największa wyspa Balearów 37. Opera Giuseppe Verdiego 38. Kraj ze stolicą w Ankarze 39. Lekka łódź indiańska 43. Bistro lub mleczny 46. Część jachtu 48. Lawa 49. Np. winogron 51. Gwałtowny przewrót 52. Trampolina 54. Szkocki deseń 55. Osobisty rachunek bankowy 56. Krzyżówka na drodze 59. Płyn do odkazania skóry i błon śluzowych 60. Opalek 61. Lekarz sądowy	1. Echolikator 2. Barwnik używany do wykonania tatuażu 3. Poszkodowany w wypadku 4. Strata moralna lub materialna 5. Maria ..., Austriaczka, która została królową Francji 6. Pierwsza pomoc przedmedyczna 7. Bywa o wysoką stawkę 8. Amerykańska gwiazda muzyki pop 9. Korsarz w służbie swego króla 10. Gra karciana z dwiema taliami i czterema dżokerami 11. Koronawirus 14. ... absolwentów lub delegatów 16. Kolejną linową na szczyt 17. Uczucie braku powietrza 20. Ćwiczenie formowania szyków przez żołnierzy 23. Antonim katody 25. Atencja 27. Wojskowa ... Lekarska 28. Tytułowa bohaterka powieści Nabokova 31. Państwo na Półwyspie Arabskim, z Maskatem 32. Miasto na Białorusi, węzeł kolejowy na granicy z Polską 34. Bečka do przechowywania miodu lub wina 35. Popisy cyrkowe 39. Intensywna czerwień 40. 100 m² 41. Dziecko, potomek 42. Czarodziej, bohater powieści Hobbit 44. Kondygnacja budynku 45. Wino deserowe lub dawna opłata pocztowa 47. Bardzo drobny węgiel 50. Deseczka używana do krycia dachów 52. Cioteczny albo rodzajny 53. Warszawska uczelnia wojskowa kształcąca kardy dowódcze sił zbrojnych RP 57. Rdzeniowy zanik mięśni 58. Sak podróżny

WIELKA WAKACYJNA KRZYŻÓWKA



HASŁO:

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----

Opracowanie:

LM Promotion

XIV Konferencja Naukowo-Szkoleniowa Wojskowych Lekarzy Dentystów



W dniach 28–30.05.2021r. odbyła się XIV Konferencja Naukowo-Szkoleniowa Wojskowych Lekarzy Dentystów. Tradycyjnie gościliśmy w Juracie, a miejscem spotkania był hotel Lido.

Organizatorami Konferencji byli: SPS Media, Wojskowy Instytut Medycyny Lotniczej i Komisja Stomatologiczna Rady Lekarskiej Wojskowej Izby Lekarskiej.

Spotkanie zaplanowane było praktycznie na termin majowy 2020 roku, ale sytuacja pandemiczna zmusiła nas do jego przesunięcia. Do końca nie byliśmy przekonani do tego, że uda się przeprowadzić Konferencję i w tym roku. Ale udało się. Oczywiście organizatorzy musieli spełnić wszystkie zalecenia odnośnie szkoleń medycznych, które dla grupy zawodowej lekarzy i lekarzy dentystów były coraz bardziej łaskawe i ciągle się zmieniały, gdyż ogłaszano znoszenia poszczególnych ograniczeń związanych z pandemią. Oczywiście i tak na dwa dni przed rozpoczęciem spotkania hotel odwiedziła delegacja lo-

kalnego sanepidu, ale nie zgłosili zastrzeżeń odnośnie organizacji. Byliśmy chyba jednymi z pierwszych w kraju, którym udało się po rocznej przerwie zorganizować takie spotkanie. Obawialiśmy się o frekwencję, ale jak się okazało zupełnie niepotrzebnie. W Konferencji wzięło udział ok. 100 lekarzy dentystów i lekarzy. Ci ostatni byli nie tylko wykładowcami. Uczestnikami spotkania byli lekarze dentyści z całego kraju i to nie tylko członkowie WIL.

Po krótko trwającym otwarciu Konferencji rozpoczęła się pierwsza sesja wykładowa, którą rozpoczęła prof. Halina Pawlicka wykładem o nowych technologiach zmieniających standardy w leczeniu endodontycznym. Następnie dr n. med. Michał Paulo podzielił się swoimi uwagami odnośnie diagnozowania rodzaju bólu w stomatologii.

Magister Renata Dziedzicka przedstawiła najnowsze metody regeneracji szkliwa i zębiny oraz skutecznego usuwania nadwrażliwości. Ostatni wykład w pierwszym dniu naszego spotkania wygłosiła

XIV Konferencja Naukowo-Szkoleniowa Wojskowych Lekarzy Dentystów



mgr Ewa Mazur-Pawłowska na temat prawnych aspektów prowadzeniu gabinetu stomatologicznego. Jej wykład dotyczył prowadzenia dokumentacji medycznej, zgód pacjentów i RODO.

Dzień zakończyła kolacja przy grillu.

W dniu następnym (29.05.2021 r.) sesję wykładową rozpoczął lek. dent. Witold Popowicz wykładem porównującym mikrochirurgię endodontyczną i resekcję klasyczną.

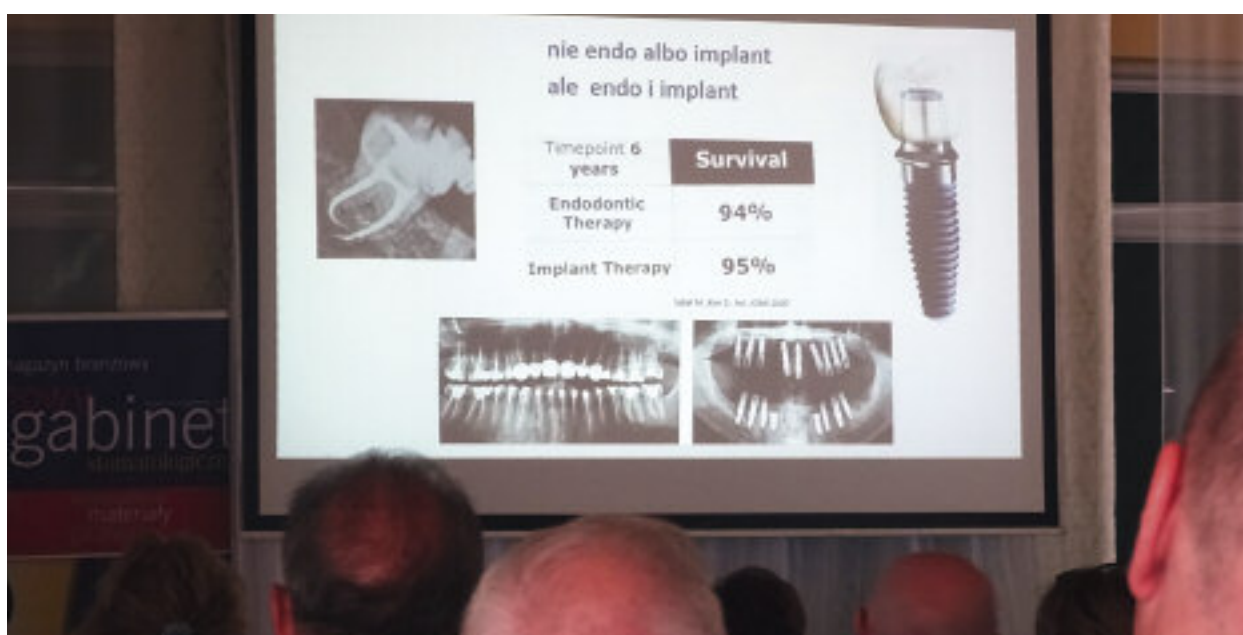
Następnie dr n. med. Przemysław Michna omówił specyfikę znieczulenia ogólnego w zabiegach z zakresu stomatologii ogólnej, chirurgii stomatologicznej i szczękowo-twarzowej. Dwa kolejne wykłady poruszały temat implantoprotezy. Lek. dent. Remigiusz Budziłko mówił o obciążeniach pojedynczego implantu przy zastosowaniu najnowszych technik i materiałów,

a lek. dent. Mariusz Cięciara jak unikać powikłań w leczeniu implantoprotetycznym.

Kończącym sesję było wystąpienie lek. dent. Andrzeja Cisty, wiceprezesa Naczelnej Rady Lekarskiej, z wykładem „Czy biurokracja odpuszczy?” Skupił się przede wszystkim na pracach związanych z wprowadzaniem elektronicznej dokumentacji medycznej, o obowiązku posiadania separatorów amalgamatu i kas fiskalnych.

Dzień i całą Konferencję zakończyła wspólna, uroczysta kolacja wszystkich uczestników, wykładowców i organizatorów. Planujemy w przyszłym roku ponowne spotkanie w Juracie. XV Konferencja została zaplanowana na 3–5.06.2022 r.

lek. dent. **Jacek Woszczyk**



Z kart historii Wojskowej Akademii Medycznej (cz. IX)



Pani profesor Krystyna Grzybowska i płk profesor Andrzej Grzybowski

Pani profesor Krystyna Grzybowska i płk profesor Andrzej Grzybowski byli jedynym profesorskim małżeństwem w Wojskowej Akademii Medycznej. Ich uroczystości jubileuszowe w Radzie Wydziału Lekarskiego UM, z różnych względów, nie odbyły się. Uznałem jednak, iż należy Ich sylwetki przybliżyć Szanownym Paniom i Panom – Czytelnikom „Skalpela”.

Pani Krystyna Gruszczyńska – studentka AM i pan Andrzej Grzybowski – student WAM poznali się 29 stycznia 1962 r. w czasie egzaminu w Klinice Ftyzjatrii AM i WAM kierowanej przez prof. Jana Stopczyka (szpital przy ul. Kosynierów Gdyńskich w Łodzi). W 1963 r. zawarli związek małżeński.

Doktor hab. n. med. prof. nadzw. Krystyna Grzybowska (ur. 1938 r.), pediatria, gastroenterologia dziecięca

Krystyna Gruszczyńska urodziła się 26 czerwca 1938 r. w Pabianicach. Świadectwo maturalne uzyskała w pabianickim II Liceum Towarzystwa Przy-

jaciół Dzieci w 1955 r., a dyplom lekarza w Akademii Medycznej w Łodzi w 1963 r. Staż przed i podyplomowy odbyła w Ciechanowie, dokąd małżonek został skierowany do jednostki wojskowej. W latach 1965–1976 pracowała w Łodzi w przychodni, a następnie w Szpitalu Pediatricznym im. J. Korczaka, pełniąc w nim obowiązki asystenta, st. asystenta oraz kierownika Poradni Dziecięcej. W 1976 r. została nauczycielem akademickim w Klinice Chorób Dzieci WAM. Doktorat uzyskała w 1981 r. na podstawie pracy pt.: „Badania wchłaniania jelitowego u niemowląt z wadami wrodzonymi przewodu pokarmowego” – promotor prof. dr hab. med. I. Płaneta-Małecka. W 1994 r. została doktor habilitowaną – tytuł pracy: „Morfologiczno – czynnościowe i immunologiczne badania błony śluzowej jelita cienkiego u dzieci z wrzodziejącym zapaleniem jelita grubego”, opiekun: prof. I. Płaneta Małecka. Od 1999 r. jest profesorem nadzwyczajnym.

W II Klinice Pediatrii WAM, a następnie I Klinice Pediatrii i Gastroenterologii Centrum Zdrowia Matki Po-

Najstarsi profesorowie Wojskowej Akademii Medycznej i ich jubileusze

lki pełniła funkcję zastępcy kierownik kliniki. Od 2002 r. pracowała w Klinice Pediatrii, Kardiologii Prewencyjnej i Immunologii Wieku Rozwojowego Wydziału Wojskowo-Lekarskiego Uniwersytetu Medycznego, a w latach 2006–2011 była kierownikiem Zakładu Żywienia Klinicznego w Katedrze Medycyny Wewnętrznej UM. W Wydziale Nauk o Zdrowiu UM była pełnomocnikiem dziekana dla kierunku „Dietetyka”.

W latach 2007–2011 była prodziekanem wydziału w Wyższej Szkole Biznesu i Nauk o Zdrowiu w Łodzi. Od 2014 r. jest etatowym nauczycielem akademickim w Bydgoskiej Szkole Wyższej.

Przebywała na stażach w uniwersyteckich klinikach pediatrycznych w Budapeszcie, Bonn i Stuttgartu. Współrealizując cztery granty KBN brała udział w międzynarodowych i europejskich kongresach, między innymi w: Los Angeles, Santiago de Chile, Berlinie, Wiedniu, Paryżu, Amsterdamie.

Była promotorem 6 doktoratów, kierownikiem specjalizacji z pediatrii sześciorga lekarzy. Opublikowała 196 prac, opracowała rozdziały w dwóch podręcznikach.

Brała aktywny udział w organizacji kongresu i sympozjum Gastroenterologii Dziecięcej, IV Dni Endoskopii Dziecięcej, Sympozjum Sekcji Nieswoistych Zapaleń Jelit Polskiego Towarzystwa Gastroenterologii, Hepatologii i Żywienia Dzieci.

Wchodziła w skład Komitetu Redakcyjnego czasopisma „Pediatria Współczesna – Gastroenterologia – Hepatologia – Żywienie Dzieci”.

W latach 1998–2008 przewodniczyła Sekcji Nieswoistych Zapaleń Jelit Polskiego Towarzystwa Gastroenterologii, Hepatologii i Żywienia Dzieci.

Była członkiem Zarządu Sekcji Gastroenterologii Dziecięcej Polskiego Towarzystwa Pediatrycznego.

Wraz z rodziną chodziła po polskim Podhalu i uprawiała narciarstwo.

Syn Rafał jest doktorem, dyrektorem Centrum Informatyki Politechniki Łódzkiej, a drugi Piotr okulistą, szefem Centrum Okulistyki „Oko Dziecka”.

Płk prof. dr hab. med. Andrzej Grzybowski (ur. 1937 r.), epidemiologia, mikrobiologia lekarska

Andrzej Grzybowski urodził się 20 maja 1937 r. w Częstochowie. W 1954 r. ukończył w Kuluszkach Liceum Ogólnokształcące im. H. Sienkiewicza, z wyróżnieniem i dyplomem „Przodownika nauki”. Po roku rozpoczął studia w Fakultecie Wojskowo – Lekarskim Akademii Medycznej w Łodzi.

Na pierwszych latach studiów wraz z innym rocznikami kwaterował, w spartańskich warunkach, w czteropiętrowym obiekcie Wojskowego Centrum Wyszczepienia Medycznego na rogu ulic Obrońców

Stalingradu (aktualnie Legionów) i Zakątnej (aktualnie kpt. Stefana Pogonowskiego). Sale, z piecem pośrodku, mieściły po kilkudziesięciu podchorążych, nie było wydzielonych miejsc do nauki własnej, w „łazience” bez ogrzewania znajdowały się długie metalowe koryta, a toalety kucane.

Obiekt ten zbudowano w latach 1891–1892 dla wojsk kozackich, a następnie stacjonował w nim batalion artylerii wojsk rosyjskich. Po I WŚ należał do 31. pułku Strzelców Kaniowskich, a po II WŚ został przejęty przez WCWM. Podchorążowie „ochrztili” go nazwą „Bastylią”. Wszystko było na miejscu: komenda Fakultetu Wojskowo-Medycznego, stołówka, duża sala odpraw, magazyny żywnościowy i mundurowy oraz... areszt (drugi areszt tzw. garnizonowy znajdował się obok, przy ul. Jerzego; z czasem przeniesiono go na ulicę Brzeźną). Kilka lat temu opuszczony moloch został wyburzony i w tym miejscu wybudowano duży apartamentowiec.

W „Bastylii” w październiku 1956 r. odbywała się odprawa kilku roczników podchorążych (sam w nich jako podchorąży pierwszego roku, jeszcze przed promocją, uczestniczyłem) o charakterze politycznym. Była ona związana z ogólną atmosferą w kraju, uczestniczyli w niej, źle zresztą przyjęci, przedstawiciele WAT (oficer i dwóch studentów), oraz dwie dziennikarki z redakcji warszawskiej „Sztandaru Młodych”. Na odprawie (masówce) zanim rozpoczęły się burzliwe przemówienia nagle spadł portret marszałka K. Rokossowskiego. Oficer polityczny o pseudonimie „Mazak” został zakrzyczany i niedopuszczony do głosu. Byliśmy zszokowani i zdezorientowani, przecież oficerowie Informacji Wojskowej ciągle „nad wszystkim czuwali”. Niepokój nasz wzrósł, gdy za kilka dni wydano nam, w ramach indywidualnego wyposażenia, hełmy.

Rozpoczęły się także bezprecedensowe głodówki – podchorążowie prowadzeni szykiem na śniadanie, czy obiad odmawiali jedzenia. Strajki nazwane „głodowymi” miały sporadycznie miejsce jeszcze w 1957 i 1958 r. Wg relacji A. Grzybowskiego 3 maja 1958 r. do WCWM przyjechało kilkudziesięciu oficerów z Warszawy (w tym generałowie), którzy stojąc nad podchorążymi, grożąc konsekwencjami wydalania ze studiów, bezskutecznie wymuszali konsumpcję. Poza „aspektem politycznym”, najważniejszy postulat podchorążych dotyczył awansowania do stopnia podporucznika po trzecim roku studiów, wzorem Wojskowej Akademii Technicznej. Ta bezprecedensowa akcja podchorążych Fakultetu Wojskowo Medycznego skończyła się historycznym sukcesem. Awansowano, w kilku terminach, na początku do stopnia chorążego, następnie pod-



Promocja 3.10.1958 r. A. Grzybowski trzeci od prawej. Promuje gen. J. Bordziłowski, asystuje kpt. Kwiatkowski – oficer polityczny

porucznika, wszystkich podchorążych po ukończeniu trzecim roku studiów. Pierwsza promocja do stopnia chorążego odbyła się 22 grudnia 1956 r. w obiekcie WCWM przy ul. Żeligowskiego 7/9 (promotor płk lek. Artur Pechner – komendant WCWM). Po raz ostatni awansowano podchorążych 3 października 1958 r., w dniu pierwszej inauguracji roku akademickiego w Wojskowej Akademii Medycznej (promotor: gen. broni Jerzy Bordziłowski szef Sztabu Generalnego WP, wiceminister Obrony Narodowej. Na wojnie stracił dłoń i część prawej kończyny, szablę trzymał w lewej ręce).

Kilkusobowa grupa strajkujących z podchorążym A. Grzybowskim, zanim doszła do tego awansu, została w lipcu 1958 r. ukarana aresztem, a karę odbyli w ramach letniego urlopu. Ośmielili się bowiem wysłać skargę do Głównego Zarządu Politycznego WP, w sprawie opóźnienia awansowania, a wg pokrętnych natenczas „praw”, żołnierz miał prawo napisać skargę bezpośrednio do GZP, ale indywidualnie, nie zbiorowo.

Młodzi oficerowie – studenci zamieszkali w komfortowych, jak na dotychczasowe, warunkach w sukcesywnie oddawanych do użytku „akademiach” WAM przy ul. Źródłowej 52. Niektórzy wynajmowali mieszkania na mieście.

Powyższe zdarzenia strajkowe przypadły na okres sprawowania funkcji komendanta WCWM przez płk.

lek. Artura Pechnera (XI/1954 r. – XII/1956 r., wkrótce wyjechał do Izraela), płk. lek. Tadeusza Mockałą (1956–1957) oraz od stycznia 1958 r. płk lek. Czesława Półtoraka. Komendantem Fakultetu Wojskowo-Medycznego WCWM był do 1958 r. płk lek. Stefan Celejewski.

A. Grzybowski po ukończeniu studiów oraz dwuletnim stażu przed i podyplomowym przez dwa lata (1964–1965) pełnił obowiązki lekarza/st. lekarza w III Berlińskim Pułku Zmechanizowanym w Ciechanowie. Powrócił do Łodzi i w latach 1965–1995 w Katedrze Mikrobiologii Lekarskiej WAM zajmował kolejne stanowiska nauczyciela akademickiego (od asystenta do docenta). Przebywał na stażach w Wojskowej Akademii Medycznej w Leningradzie, oraz w Uniwersytecie w Budapeszcie. W 1972 r. uzyskał doktorat na podstawie pracy pt.: „Badania nad mechanizmem immunogenezy u zwierząt poddanych działaniu niskiej dawki promieniowania jonizującego” (promotor prof. Jan Chomiczewski). W tej samej katedrze wykonał pracę habilitacyjną – „Zmiany czynnościowe i morfologiczne granulocytów, jako następstwo działania antygenów” – na podstawie której, oraz dorobku naukowego w Radzie Naukowej Państwowego Zakładu Higieny w Warszawie, otrzymał stopień doktora habilitowanego (1989 r.). Tytuł profesora nauk medycznych otrzymał w roku 1996. W latach 1990–1995 był kierownikiem Zakładu Medycyny Zapobiegawczej WAM.

Najstarsi profesorowie Wojskowej Akademii Medycznej i ich jubileusze

W roku 1995 zakończył zawodową służbę wojskową i, w drodze konkursu, objął kierownictwo Katedry Higieny i Epidemiologii Akademii Medycznej w Łodzi (po profesorze Henryku Rafalskim). Pracę w Uniwersytecie Medycznym zakończył w 2012 r.

Wykładał przedmiot „Podstawy żywienia człowieka i dietetyki” na Wydziale Biotechnologii i Nauk o Żywności Politechniki Łódzkiej (2007–2014) oraz w Wyższej Szkole Biznesu i Nauk o Zdrowiu w Łodzi. Pracuje w Bydgoskiej Szkole Wyższej.

Jest autorem 278 prac naukowych oraz autorem rozdziałów w opracowaniach zwartych, między innymi: Józef Kubica (red.) „Epidemiologia wojskowa”, wyd. MON, 1992 r.; Zbigniew Jethon (red.) „Medycyna zapobiegawcza i środowiskowa”, wyd. PZWL, 1996 r. Wypromował 8 doktorów nauk medycznych, był opiekunem jednej pracy habilitacyjnej i kierownikiem specjalizacji 25 osób.

Wchodzi w skład Rady Redakcyjnej czasopisma „Problemy Higieny i Epidemiologii”.

Od 2003 jest członkiem Rady Naukowej Instytutu Medycyny Pracy w Łodzi. Był konsultantem wojewódzkim ds. epidemiologii (1999–2005 r.)

Był członkiem Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Mikrobiologów, wiceprezesem OŁ Polskiego Towarzystwa Epidemiologów i Lekarzy Chorób Zakaźnych, przewodniczącym OŁ Polskiego Towarzystwa Higienicznego. W roku 1991 współtworzył Ogólnopolskie Kolegium Kierowników Katedr Higieny, Epidemiologii i Medycyny Zapobiegawczej, a w latach 1997–1999 przewodniczył temu gremium.

Został laureatem nagrody zespołowej II° ministra Obrony Narodowej.

2 czerwca 1991 r. uczestniczył z małżonką w historycznym spotkaniu Papieża Jana Pawła II z Wojskiem Polskim w Zegrzu Pomorskim.

Uprawiał turystykę i narciarstwo.

Wnuczka Joanna jest architektem, Julia studentką medycyny, a Łukasz studiuje na Wydziale Informatyki Politechniki Łódzkiej.

Państwo Grzybowski mieszkają w uroczym zakładku w Rosanowie k. Zgierza, w godnej podziwu symbiozie z fauną i florą.

Źródła

Informacja osobista.

Witold Jarno, *Przemysław Waingertner* (redaktorzy). *Budownictwo wojskowe w Łodzi*. Dom Wydawniczy Księży Młyn. Wyd. I. Łódź. 2016 r.

Czesław Jeśman, *Profesorowie i Docenci Wojskowej Akademii Medycznej im. gen. dyw. prof. Bolesława Szareckiego*. Uniwersytet Medyczny w Łodzi. Łódź. 2004 r.

Jerzy Miłkowski, *Wojskowa Akademia Medyczna. Pamiętnik Akademicki*. Spartacus. 1997 r.

Podziękowanie. Moi Koledzy: Stanisław Głowacz, Eugeniusz Miękoś, Roman Milkiewicz, Zdzisław Rajca, Leszek Walasek zechcą przyjąć podziękowanie za konsultacyjne rozmowy dotyczące „wydarzeń” w WCWM.

Post Scriptum

W biogramach ograniczyłem się z reguły do podania daty (roku) jednej nominacji profesorskiej, co można uznać za nieścisłość, a przez niektórych za krzywdzące. W czasach PRL po habilitacji uzyskiwało się w uczelni stanowisko docenta, a po pewnym czasie wszczynano postępowanie o nadanie tytułu profesora nadzwyczajnego. W uczelni profesor nadzwyczajny był po prostu profesorem, który wzbogaciwszy swój dorobek naukowy mógł zostać profesorem zwyczajnym (a w uczelni po prostu w dalszym ciągu profesorem). Po zmianach ustrojowych i kolejnych ustawach o szkolnictwie wyższym tryb postępowania zmieniono. Po kolokwium habilitacyjnym (zatwierdzonym przez Centralną Komisję ds. Stopni i Tytułów, CKK; od 2021 r. Rada Doskonałości Zawodowej) delikwent w uczelni był doktorem habilitowanym, który po pewnym czasie w trybie postępowania wewnątrz uczelnianego zostawał (mógł zostać) profesorem nadzwyczajnym, zwanym profesorem uczelnianym (dr hab. XY profesor nadzwyczajny danej uczelni). Profesor nadzwyczajny, po nieprecyzyjnie określonym czasie mógł zostać profesorem belwederskim, a w uczelni profesorem zwyczajnym (a formalnie otrzymać etat profesora zwyczajnego, choć niestety nie obligatoryjnie). W uczelni byli (są) profesorowie nadzwyczajni („uczelniani”), zwyczajni i belwederscy. Na uczelniach prywatnych ta dowolność awansowania była jeszcze inna. Doktora bez habilitacji, stosowną uchwałą senatu nobilitowano profesorem nadzwyczajnym, czyli uczelnianym. Po opuszczeniu uczelni profesor ów mimo, że tytuł już nie przysługiwał, w dalszym ciągu z tej godności korzystał. Trochę to skomplikowane, a i namnożyło się profesorów.

Nawiązując do czasów PRL, przytoczę krążący w gremiach akademickich dowcip o kielbasach. Ich wybór był wtedy skromny. W sklepach dostępna była kielbasa zwyczajna i nadzwyczajna. Zwyczajna, jak to zwyczajna, nie była nadzwyczajna, a nadzwyczajna nie była nadzwyczajna – była po prostu zwyczajna.

Przepraszam wszystkich aktualnych profesorów belwederskich, uczelnianych – nadzwyczajnych i zwyczajnych.

Hieronim Bartel

Lekarz w służbie w ICCS (cz. IV – ostatnia)

...Ale tej historii, dla mnie banalnej, nie było końca.

W sprawę został wmieszany i mój szef Regionu. Razem musieliśmy pójść do biura szefa irańskiego, i zachowując rytuał wojskowy oficjalnie przeprosić delegację irańską za, jak się okazało, poważny incydent dyplomatyczny, międzynarodowy.

Po pewnym czasie były w tej sprawie telefony z Sajgonu, wielokrotne wyjaśnianie zdarzenia. Później dowiedzieliśmy się, że również polski ambasador (szefami poszczególnych delegacji narodowych byli dyplomaci-cywilie w randze ambasadora) oficjalnie przeproszał równego mu rangą „Imperiala” (tak ich nazywaliśmy, bo byli to jeszcze oficerowie Imperium Irańskiego – i oficjalnie ich delegacja nosiła nazwę „Delegacja Imperium Iranu”) – to było jeszcze za czasów szacha Reza Pahlavi; inne delegacje nie były z nazwy „imperialne”. Pamiętam, że ten imperialny przymiotnik wszystkich niezmiennie bawił, szczególnie Amerykanów.

Jak niewiele brakowało bym wpłatał Polskę w bardzo trudną z punktu widzenia „technicznego” i logistycznego wojnę z imperium irańskim.

Do dzisiaj jednak nie wiem co mówią o takim wydarzeniu międzynarodowe konwencje. A głównie chodzi mi o to, gdzie powinniśmy stoczyć bitwę, a może kilka bitew – lądową, morską i powietrzną. Co powiedziano by w Moskwie, bo przez przynależność Polski do Układu Warszawskiego w całą hecę wciągnęlibyśmy swych „sprzymierzeńców”, no i gotowa trzecia wojna światowa.

A z drugiej strony był to jedyny sposób na moje wejście do historii powszechnej. Ostatecznie sprawa została zażegnana jeszcze w zarodku, tj. w Sajgonie, więc nikt o mnie nie usłyszy i nie przeczyta o mnie w księgach historycznych. I jest to pewnego rodzaju niesprawiedliwość, bo o takim, który wywołał drugą wojnę światową, to nawet filmy kręcili...

Między innymi i z tego powodu spisuję te wspomnienia, by chociaż na kilku swych prywatnych kartkach utrwalić siebie. Ostatecznie, gdyby sprawa dalej się rozwijała, może byłby wystarczający materiał do zrobienia, nakręcenia kolejnego filmu pod wielce mówiącym tytułem „Jak rozpętałem wojnę polsko-irańską”.

Stosunki polsko-irańskie uległy wyraźnej poprawie, kiedy pewnego dnia przyszedł do mnie zastępca szefa delegacji irańskiej z prośbą bym zbadał jednego z ich oficerów. Oficer ten od kilku godzin miał nasilone bóle brzucha, wymiotował i miał podwyższoną temperaturę. Lekarz irański, elegancki

podpułkownik, w zakresie wiedzy medycznej był niezwykle kiepski (o takich można śmiało powiedzieć, że nie są zbyt nachalnie wykształceni i inteligentni), na niczym w zakresie medycyny się nie znał. Badanie nie było kłopotliwe, diagnoza prosta – ostre zapalenie wyrostka robaczkowego. Napisałem skierowanie do szpitala amerykańskiego w Sajgonie, zarządziłem „medevac” (special fly), pacjenta zabrano na lotnisko. I na tym moja rola się skończyła. Późnym wieczorem przyszła do mego mieszkania delegacja irańska z szefem – przyszli podziękować (ich kolega był już po operacji), przynieśli ogromny wazon pełen kwiatów. Niestety, wracając do Polski musiałem ów wazon pozostawić w Can Tho.

Moje zapiski mają charakter pojedynczych opowiadań. Ale po latach nie widzę sensu przepisywać tutaj zdawkowych informacji z prowadzonego wówczas na bieżąco „raptularza” (dziennika). Nie wykluczam jednak, że kiedyś, jak zdrowie pozwoli, w istotnej części przepiszę ten dziennik. Dzisiaj, gdy sporadycznie przerzucam kartki tegoż raptularza, bardzo często przypominają mi się niektóre szczegóły tamtych dni.

Były dni trudne, bardzo trudne, ale też dni miłe lub ciekawe.

A o Wietnamkach i tak nic nie powiem!

Po wielu latach mój syn Piotr z kolegą wybrał się do Wietnamu, jakby śladami swego ojca. Ale jak potem powiedział, nigdzie nie spotkał, także w Delcie Mekongu, osób w jego mniej więcej wieku, którzy mogliby być podobni do niego lub do mnie. No właśnie...

...Jest wczesna wiosna 1975 r., mamy wracać do Kraju. Jeszcze kilka miesięcy wcześniej nikt z nas nie przewidywał tragicznego zakończenia wojny w Wietnamie. Przewidywaliśmy, że wojna ta potrwa jeszcze kilka lat. Potęga Ameryki i bardzo duża i doskonale wyposażona armia Wietnamu Południowego nie wskazywały na rychły koniec. Powoli przygotowywaliśmy się do powrotu do domów, robiliśmy ostatnie zakupy... i umawialiśmy się z pracownikami wietnamskimi co do kolejnej rundy naszej misji.

Zapis w moim dzienniku z dnia 10 i 11 stycznia 1975 r. – „Niestety, ale wojna w Wietnamie rozkręca się na całego. Trudno odnieść się do politycznych ocen postępowania obu stron. Ale same fakty są zatrważające. Ginie mnóstwo ludzi, przede wszystkim niewinnych. Ludzi, którzy najczęściej nie wiedzą o co chodzi. Ludzi dla których nie ma ważniejszej sprawy niż życie własne i rodziny. Są oburzeni tym co się dzieje i zrozpaczeni. Objawy toczącej się wojny są okrutne, bezwzględne, głupie,



dla postronnych wstrząsające. Coraz częściej przychodzą do ICCS z prośbą, a nawet groźbą. Ale jesteśmy bezsilni. Cóż może zrobić ICCS? Powoli z tych powodów dojrzewa we mnie chęć powrotu do Polski. Czuję się jak oskarżony. W oczach tych ludzi jesteśmy współwinnymi tych okrucieństw. Jesteśmy tymi, którzy tolerują zbrodnie i sprzyjają najeźdźcom. Wietnamczycy z południa traktują tych z północy jako obcy etnicznie element – ludzie z północy są więksi, silniejsi, mają więcej cech mongolskich, a nawet ciemniejsze zęby (?), różnią się nawet językiem. Dlaczego nie dadzą nam spokojnie żyć, czego od nas chcą? – to najczęściej spotykane pytania” – zapis ten cytuję dosłownie, bez jakichkolwiek zmian, wygładzeń.

Dopiero nagłe i szybkie wycofywanie się żołnierzy i wielu cywilów wietnamskich na południe dało coś więcej do myślenia. I my będąc na krótkim urlopie w nadmorskim, pięknym Nha Trang'u (przez naszych nazywany Sopotem) musieliśmy się nagle ewakuować do naszej Deltę Mekongu, uciekając przed gwałtowną ofensywą z północy.

Zanim doszło do naszej ucieczki z tej pięknej miejscowości, zdołaliśmy spędzić tam kilka miłych dni.

Była tam szeroka piaszczysta plaża, obok przechodził deptak obsadzony palmami, dalej asfaltowa ulica z chodnikiem. Wzdłuż tej ulicy były piękne spore pensjonaty, hotele – wszystko to pamiętało czasy francuskie.

Tam właśnie, brodząc w morzu, natknąłem się na jadowite węże morskie. Były one jakoś dziwnie osłabione i sponiewierane przez fale przybrzeżne. Znalazłem na plaży niewielki kij, którym dwa węże wyrzuciłem na piaszczysty brzeg. Jeszcze poruszały się, ale nie miały już siły by samodzielnie powrócić do wody. Ze względu na zygzakowaty rysunek na ich grzbietach nie miałem ochoty odrzucić je z powrotem do morza (nigdy gadów nie lubiłem).

Dałem im szansę wygrzania się na słońcu. Od tego zdarzenia więcej nie korzystałem z tej plaży.

Jednego dnia wybraliśmy się na całodzienny rejs sporą łodzią motorową, nieco na wyrost nazywaną jachtem. Przed wypłynięciem właściciel zaprowadził nas nad baseny, które powstały przez wieloletnie usypywanie przez niego i jego rodzinę kamiennych grobli, w niedużej morskiej zatoczce. W basenach, które były jego dziełem i jego własnością pływało sporo ryb i przeróżnych skorupiaków. Mieliśmy sobie wybrać homara, langustę i jakieś ryby morskie. Syn właściciela wskoczył do tych basenów i wylawiał wskazane sztuki. Zostały one załadowane do wanienki z wodą i przeniesione na pokład krypy. No i popłynęliśmy; wiadomo, była piękna słoneczna pogoda. Wody przezroczyste aż do samego dna. Popłynęliśmy obok wysp jaskółczych do niedużych wysp koralowych. Sternik miał na pokładzie kapoki, koła ratunkowe i spore dętki, także maski-okulary i fajki.

Rzucił kotwicę i zaprosił nas do pływania i nurkowania – w tym miejscu dno było nie głębiej niż cztery-pięć metrów. Wspaniałe widoki – kolorowe koralowce i równie kolorowe ryby. Dla tych, którzy nie chcieli pływać, krypa miała w swym dnie szklaną szybę. Po pewnym czasie szyper podniósł kotwicę i popłynęliśmy na drugą stronę tej małej wyspy – tutaj z kolei była piaszczysta plaża. Wyszliśmy na brzeg zbierać skorupy różnych ślimaków i krabów. W tym czasie szyper, czy jak go tam zwać, przygotował posiłek – były wspaniałe homary, langusta i smażone ryby. Do tego podał zimnie piwo („33”) i pieczywo oraz kilka sosów. Przyznaję – nie wiedziałem jak zabrać się do skorupiaków – wiedzę w tym zakresie zdobywałem stopniowo, w miarę jedzenia. Początkowo chciałem odrzucać odnóża, ale okazało się, że w nich jest smakowite mięsko, trzeba je tylko przełamać. Narzędzi, specjalistycznych sztućców na szczęście nie było, co znacznie ułatwiało mi konsumpcję.

I tak podziwiając piękne morze oraz mijane wysepki wróciliśmy do punktu wyjścia. A punktem tym była piaszczysta plaża. Zeskoczyliśmy na brzeg. Zaraz za plażą była droga, przy której znajdowały się domostwa miejscowych. W opłacie (śmiesznie niskiej dla nas) była również opcja kawy na tarasie kawiarerii, która również była własnością szypra.

I właśnie na tym tarasie popełniłem straszną gafę. Podeszła do nas młoda, ładna dziewczyna z miską wody i ręcznikiem. Sprawa była jasna – mieliśmy opłukać sobie stopy z piachu przed założeniem sandałów. Ale ta młoda piękność przykleknęła przede mną i chciała mi obmyć stopy. No, nie mogłem, jako dżentelmen, na to pozwolić. Więc delikatnie, ale stanowczo odsunąłem ręce dziewczyny ...spojrzała na mnie z wyrzutem, ze smutkiem i szło-



chając pobiegła do wnętrza domu... zgłupiałem, przecież nie stosowałem siły... Okazało się, że wzgardziłem jej pomocą i bardzo swym zachowaniem ją obraziłem. Gdy sprawa się wyjaśniła bardzo ją przeproszałem, ale jej smutek był dużo większy niż moje starania...

Powróćmy do, niespodziewanej dla nas, gwałtownej ofensywy wojsk Północy. Wszystko działo się już lawinowo. Żał było Wietnamczyków śmiertelnie przerażonych, którzy nie mieli gdzie uciekać. Z radia i TV oraz z prasy już wiedzieli co się stało z Kambodżą, gdy „oswobodzili” ją komuniści Pol Pota – śmierć i rzeki krwi na ulicach.

Jest jednak faktem, że – jak się później okazało – dość sporo Wietnamczyków na południu było już dużo wcześniej na żołdzie Północy. W tym także główna pielęgniarka naszego ambulatorium w Sajgonie oraz podobno kilka osób pracujących u nas w Can Tho. Ponoć zdarzało się, że jeden Wietnamczyk wydawał drugiego, z którym wcześniej razem pracowali i byli kolegami (koleżankami). Dopiero po powrocie do Polski widziałem zdjęcia TV z tragicznej ewakuacji Amerykanów i Wietnamczyków z Sajgonu, którzy mieli nadzieję uciec do Ameryki. Tam na miejscu, wszystkich, którzy w jakiejś formie pracowali dla Republiki Wietnamu Południowego, a szczególnie oficerów armii, policjantów, urzędników i ich rodziny czekała śmierć gwałtowna na ulicy lub powolna w obozach.

Wielu z nich znaliśmy... Czy przeżyli?... Wątpię.

Z biegiem czasu coraz częściej odzywały się syreny alarmowe w bazie, coraz częściej startowały śmigłowce i penetrowały okolice bazy, ostrzeliwały widoczne lub domniemane pozycje Viet Cong. Gdy

wracały do bazy, odzywała się artyleria. Ponad głowami i obok nas strzelało wszystko co tylko mogło. W naszym obozowisku nie było zbyt wielu schronów, a te które były zamieszkiwały przeróżne gady, więc w nich nie było zbyt bezpiecznie, raczej nieco ciasniej.

Od nastania pory suchej każdego dnia, około 10:00 (przerwa na drugie śniadanie), pijemy kawę w moim „ogródku”, na trawie. Posadziłem tam trochę kwiatów i bananowce. Fajnie jest posiedzieć w wygodnych fotelach, na świeżym powietrzu, kawa tutaj lepiej smakuje.

Odwołuję jednak te kawy na wolnym powietrzu. Wszystko przez podłego gada; podczas toczącej się rozmowy zauważyłem, kątem oka, pełznącego gada. Zauważyłem go, gdy zatrzymał się przed moją stopą i uniósł swój łeb. Według późniejszej opinii tubylców była to jadowita żmija. Powoli wycofałem swoją stopę, obróciłem się w fotelu i powoli wstałem. Przestraszonym kolegom kazałem pilnować gada. Poszedłem do mieszkania by poszukać czegoś, czym mógłbym go przydusić do podłoża. Niczego nie znalazłem; wziąłem więc szufladę z biurka i tą szufladą gada przydusiłem; odsłoniłem jego łeb tylko po to, by nożem go odciąć. Potem powiesiłem kolorowy okaz za oknem. Z wierzchu był szaro-zielonkawy, podbrzusze miał bardzo kolorowe – czerwono-żółto-czarne. Kilka dni wcześniej szef zabił innego gada w biurze, na lotnisku Indonezyjczycy na moich oczach upolowali sporego węża – ok. 2 m długości; zabrali go z sobą w celach kulinarnych.

Wraz z porą suchą nadeszły i gady. Trzeba było zamknąć kawiarenkę w plenerze. Teraz rozumiałem dlaczego wszystkie ścieżki są betonowe i znacznie uniesione nad podłożem, ponadto są dobrze oświetlone. Wcześniej sądziłem, że to wszystko zrobili ze względu na opady deszczu; po kilku dniach natrafiłem na gada zwiniętego przed moimi drzwiami wejściowymi. Poprosiłem o uszczelnienie tych drzwi.

Na zasadach wzajemnej parodniowej rotacji, my lekarze, mogliśmy wyjeżdżać do innych Regionów i zwyczajnie je zwiedzać, poznawać. Generał docent Czesław Dęga, zastępca ambasadora ds. wojskowych (szef wszystkich polskich wojskowych w ICCS, w Polsce wykładowca w Akademii Sztabu Generalnego), był moim pacjentem, co skrzętnie wykorzystaliśmy – kto w końcu nie chce być zdrowym i grać w tenisa, kiedy najbardziej to lubi? Ponadto nasze wyjazdy odbywały się pod pretekstem szczepień naszych oficerów, szczepień przeciwko cholery i dżumie.

Przyznaję, że inni oficerowie ani pracownicy cywilni (była to grupa pracowników z MSW) nie mogli

się swobodnie przemieszczać – wojskowi w ciągu ośmiu miesięcy byli z urzędu najwyższej raz rotowani, lub częściej, ale z innych powodów, nie zawsze miłych.

Wcześniej, przed powrotem do Can Tho, udało mi się zwiedzić część północną i środkową Wietnamu Południowego. Byłem w stolicy cesarskiej Wietnamu w Hue; zwiedziłem tam „cytadelę”, pałac cesarski oraz dość dobrze zachowane inne zabytki, w tym wieżę ośmiokątną nad rzeką Perfumową, grobowce cesarzy wietnamskich. Inne pałace będące jednocześnie grobowcami zwiedziłem w okolicy miasta Hue. Po drodze widziałem ślady ciężkich walk stoczonych przez Północ z wojskami amerykańskimi i wojskami Wietnamu Południowego.

Przy granicy z Wietnamem Północnym, w pobliżu granicznej rzeki, zatrzymaliśmy się w byłym mieście Quan Tri (niegdyś 60 tys. mieszkańców). Miasto było całkowicie, bez reszty zniszczone – zbombardowane dywanowymi nalotami amerykańskimi w czasie poprzedniej inwazji Północy w 1972 r. Ponoć pod gruzami tego miasta zostały pogrzebane prawie dwie dywizje z Hanoi – w tym mieście, a raczej między gruzami, można było się poruszać jedynie sprawdzonymi przez saperów ścieżkami. Nikt tam nie mieszkał. Raz po raz tymi ścieżkami przejeżdżał na motorach patrol armii Wietnamu Południowego. Ze względu na bliskość granicy z Północą znajdowała się tam, wśród zarastających już buszem ruin, mała siedziba lokalnej grupy ICCS. Na tym krańcu ówczesnego nam świata zaskoczyła nas karta dań w małej mesie ICCS – wynikało z niej, że na obiad podadzą nam m.in. polską kielbasę z dodatkami; i rzeczywiście, kielbasa ta miała jakby podobny smak do naszej w Polsce (jest rzeczą oczywistą, że przed udaniem się do jakiegokolwiek siedziby ICCS należało telefonicznie powiadomić pełniących tam służbę).

Przed Pleiku znalazłem się w Qui Nhon, pięknym mieście portowym. Przelot do tej miejscowości nie był zbyt miły – lecieliśmy niziutko nad górami, przy sporym zamgleniu i opadach deszczu. Zwiedziłem tam świątynie buddyjskie przypominające budowle kambodżańskie, inne świątynie typowo buddyjskie na sąsiadujących wzgórzach, ogromne posągi Buddy, piękne plaże nad morzem (o pływaniu nie było mowy ze względu na bardzo duże fale). Z Qui Nhon, na „chwilę”, udaliśmy się do leprozorium prowadzonego przez francuskie siostry zakonne. Droga prowadziła lichą serpentyną; początkowo pięliśmy się w górę, a potem był szaleńczy zjazd do zakładu. Ośrodek wręcz piękny, położony nad samym morzem, tylko ci nieszczęśnicy. Ogrom-

ny kontrast między tym ośrodkiem i innymi szpitalami wietnamskimi jakie miałem okazję zobaczyć.

Przejechaliśmy (w tamtym rejonie jeździłem z Karolem Rożenem) przez Ninh Hoa; przysiedliśmy tam tylko na chwilę w bazie ICCS – widok bardzo smutny, z rozległej bazy wojskowej pozostały jedynie ruiny, fundamenty.

Jakby przejazdem byliśmy w rozrzuconych grupach lokalnych, by wszystkich zaszczepić. W tym samym czasie, gdy ja byłem w innym Regionie, do mojego Regionu przyjechał szczepić moich oficerów inny kolega. A że jakby po drodze i mimochodem zboczyliśmy tam czy siam, to tylko najzwyklejszy przypadek. Ale zawsze w każdym Regionie był lekarz.

Byłem też na Płaskowyżu Centralnym, w bazie lotniczej w Pleiku i w jego okolicach. Stacjonował tam ogrom samolotów bojowych armii Wietnamu Południowego, część z nich była zabezpieczona przed działaniem czasu i klimatu w kokonach. Przeżyłem tam ostrzał raketowy partyzantki południowej – przed schowaniem się w bunkrze zdążyłem zrobić zdjęcie płonących zbiorników z paliwem.

Dzień wcześniej razem z Jerzym Wiśniewskim (wówczas był etatowo w Pleiku) przeżyłem niesamowitą przygodę. We dwóch poszliśmy z bazy do pobliskiej wioski górali wietnamskich (jest to nieco inna nacja wśród ludności Wietnamu). Byli doskonalymi żołnierzami w armii południowej, odznaczali się wielką odwagą, dzielnością, lubili Amerykanów, zwalczali komunistyczną partyzantkę.

Najpierw spotkaliśmy uzbrojoną grupę mężczyzn częściowo umundurowaną. Byli wyraźnie podochołoceni alkoholem i jak się za chwilę okazało także wydarzeniami, które spotkały ich zaledwie przed chwilą. Wcześniej, przed tym spotkaniem, słyszeliśmy wystrzały z broni maszynowej. Gdy stanęliśmy naprzeciwko siebie w pewnej odległości sytuacja wydawała się bardzo niebezpieczną.

Jeden z nich krzyknął – „Kim jesteście?”. Nie znając ich przynależności każda odpowiedź mogła nosić w sobie niebezpieczeństwo... Krótka narada między Jerzym i mną; nie było na to zbyt wiele czasu. Pytanie parokrotnie się powtórzyło. Uznaliśmy, że skoro są tak blisko bazy wojskowej i nie skrywają swej obecności, to nie mogą być komunistyczną partyzantką. Odkrzyknęliśmy, że jesteśmy Amerykanami i idziemy do wioski. Chwilę między sobą rozmawiali. Potem wymachując bronią powiedzieli – „To możecie iść, jest bezpiecznie, bo przed chwilą rozwaliliśmy kilku partyzantów”. Tak też bywało w Wietnamie.

Ostatecznie doszliśmy do wsi (po drodze atakowała nas jeszcze jakaś czarna świnia, ponoć hodow-

lana, a nam w tamtej chwili wydawało się, że to dziki zwierz). Mieszkańcy wioski byli przyjaźni. Poszliśmy kawałek dalej, na cmentarz, by zobaczyć grób jednego z pilotów, mieszkańca tej wsi. Zginął on haniebnie z ręki kobiety, z wyroku Starszyny, bo mimo że był wyreklamowany z wojska, nie chciał być do dyspozycji wszystkich kobiet we wsi w wieku rozrodczym. Zakochał się w jednej. Gdy nie spełniał swych dobrowolnie przyjętych na siebie zobowiązań, został pojmany i osądzony. A przecież chodziło o zachowanie populacji górali – złamał swe słowo, poważna sprawa... kara śmierci z ręki młodej kobiety...

Na cmentarzu okazało się jednak, że jest przygotowywany pogrzeb zmarłej osoby z wioski. Przygotowywano stos do spalenia ciała (?), znoszono produkty na stypę, w tym w dużych glinianych dzbanach wino. Nie chcieliśmy zostać na pogrzebie. Zatem górale zmusili nas, jeszcze przed samym pogrzebem, do udziału w stypie. Oni, podobnie jak nasi górale, nie znosili sprzeciwu.

Karmiono nas kulkami z ryżu, które w brudnych rękach lepiła bezzębna babcia. Do tego były jakieś zapiekane robaki. O odmowie z naszej strony nie było mowy. Byliśmy też przymuszeni do picia wina z dużych glinianych dzbanów, przez rurkę bambusową, tę samą, z której korzystali już inni. Istotnym wewnętrznym elementem dzbanów był zrobiony pływak, z liści przypominających nasze leśne paprocie; owa rurka bambusowa przechodziła przez ten pływak do wnętrza, ponadto była umocowana przez również bambusową poprzeczkę spoczywającą na brzegach naczynia – trzeba było zdrowo ciągnąć aż w dzbanie zasiorbało. To znaczyło, że wypilo się odpowiednią porcję. Porcja do wypicia była zależna od wysokości ustawionej pionowej rurki. Jeśli nie zasiorbało, trzeba było czynność powtórzyć.

Słońce dawało ostro. Przez te i wcześniejsze wszystkie wydarzenia dnia oraz upał, potwornie rozboleła mnie głowa. Na dodatek pierwsze moje podejście do dzbanu było nieudane – nie zasiorbało. Musiałem zdrowo pociągnąć jeszcze raz – jeden z górali był „sędzią” mego picia i to on zaliczał wykonanie zadania. Jak potem trafiliśmy do bazy, tego nie wiem, bo drogi powrotnej prawie nie pamiętam i z pewnością było mi już całkiem obojętne czy spotkamy dziką świnię, czy komunistycznych partyzantów, czy też jakieś oddziały rządowe, albo kolejny pogrzeb.

Tam, w bazie w Pleiku usłyszałem taką historię. Otóż partyzanci z Viet Cong stosowali straszny sposób wywoływania strachu, paniki wśród żołnierzy armii południowej. Nocą ostrzeliwali bazy wojsk Południa pociskami raketowymi z przenośnych katusz. W bazie zarządzano alarm bojowy – część żoł-

nierzy ruszała do bunkrów, część zajmowała stanowiska bojowe. Okazywało się, że niektóre pociski raketowe nie eksplodowały. Przypisywano to kiepskiej chińskiej produkcji. Wówczas odwoływano alarm bojowy, wojsko wracało do łóżek. Po godzinie lub więcej „niewybuchy” eksplodowały (miały opóźniony zapłon) – powodowało to ogromne zamieszanie i panikę. Były przy tym także straty sanitarne. Po kilku takich zdarzeniach niepotrzebne już były wyłącznie bojowe pociski raketowe, w części wystarczyły atrapy – byle z hałasem doleciały na teren wybranej bazy wojskowej – wojsko w popłochu masowo uciekało z koszar. Nasi nazywali to chińską metodą zastraszania. Co by nie mówić, metoda była skuteczna – odbierała żołnierzom chęć do walki.

Mile też wspominam wypad do Wung Tau koło Bien Hoa (niezbyt daleko od Sajgonu). Wung Tau sprawiało wrażenie dosyć sporej wyspy połączonej ze stałym lądem równie sporawą groblą. Na obrzeżach tej miejscowości znajdowała się mała baza grupy lokalnej ICCS. Polak, który tam przebywał był w marnej kondycji psychicznej i fizycznej – oszczędzał na jedzeniu, jak tylko można sobie wyobrazić. Na sznurku wisały używane już torebki herbat – podobno nie lubił mocnej herbaty, więc jedną torebkę używał wielokrotnie. Kiedy przed obiadem przyszła wietnamska kelnerka zapytać co kuchnia ma dla nas przygotować (w siedzibie tej było wówczas zaledwie trzech – czterech oficerów różnych nacji). Na pytanie co chciałby zjeść, „kolega” stękając odpowiedział: chleb, potem nadal stękał, aż kelnerka z uśmiechem dokończyła za niego: i masło i dżem. Zmęczony pytaniem i moją obecnością przytaknął. Niestety, ale raz po raz trafiały nam się takie ofiary losu. Gdy wróciłem do Sajgonu musiałem poinformować generała o zastanej sytuacji w Wung Tau (jako lekarz byłem zobowiązany do czuwania nad zdrowiem, kondycją naszych oficerów – ten o którym wspominam został przeniesiony do Sajgonu).

Inną wesołą/smutną historię zastałem w siedzibie Regionu w Bien Hoa. Wielopiętrowy budynek ICCS był sporym budynkiem, przypominającym hotel, w którym jeszcze niedawno mieszkało bardzo wielu oficerów USAF. W całości Bien Hoa było do niedawna olbrzymią bazą lotniczą armii Stanów. Zastałem tam naszego oficera, który w swej dozgonnej głupocie całymi godzinami siedział na balkonie swego pokoju i w sporym zeszycie notował starty i lądowania samolotów amerykańskich. Prosił by mu nie przeszkadzać, więc ze sporą dozą ciekawości śledziłem jego chyba „szpiegowskie” (jak sam zapewne sądził) poczynania. Nie minęło wiele minut, gdy zorientowałem się, że były to loty ćwiczebne, ograniczające się do startów i lądowań dwóch tych

samych samolotów – co łatwo było zrozumieć patrząc na numery boczne tych statków powietrznych. Wieczorami wysyłał do Sajgonu „meldunki” o ruchach wojsk lotniczych US. Ten przypadek też zgłosiłem generałowi, bo był temu oficerowi potrzebny lekarz od psyche. Niestety, byli w naszej sporej delegacji wojskowej tacy, którzy nie wytrzymywali psychicznie i fizycznie w czasie tej dosyć długotrwałej i chwilami trudnej służby w Wietnamie.

Tego samego dnia mego pobytu w Wung Tau, po obiedzie, z kapitanem węgierskim pojechaliśmy na wyspę. Środek wyspy zajmowało spore wznieśnienie, wokół którego biegła droga. Osobliwością na tej wyspie były budowle sakralne – sporo zabudowań klasztornych i świątyn buddyjskich. Wielkim natomiast zaskoczeniem dla mnie była katolicka Droga Krzyżowa z kaplicami poszczególnych stacji, pnąca się w górę, zwieńczona dużymi trzema metalowymi krzyżami na szczycie... Spore przeżycie w świecie zdecydowanie buddyjskim.

Nie pamiętam kiedy i w którym Regionie zostałem zaprowadzony do klasztoru buddyjskiego. Okolice tego klasztoru były górzyste, skaliste, na skraju dżungli. Przed furta klasztorną znajdowały się dwa krzewy uformowane na kształt koziołków. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem... Byłem zdumiony, gdy po miłym przywitaniu poczęstowano nas gorącą herbatą. Ponieważ byliśmy dobrze zgrzani nie bardzo nas pociągał gorący napój, wolelibyśmy jakiś zimny napój prosto z lodówki. Mnisi zauważyli nasze zdumione miny i spokojnie zachęcali nas do picia gorącej herbaty; jednocześnie tłumaczyli nam, że nie ma lepszego napoju na upały i zmęczenie. I rzeczywiście, po kilku łykach przestaliśmy się pocić i nabraliśmy wigoru. Ale to nie było jedyne zaskoczenie. Pokazano nam różne pomieszczenia, na koniec zaprowadzono nas do sporej biblioteki klasztornej. Zaskoczenie pełne – na ścianie wisiał duży portret Marii Skłodowskiej – Curie! Po chwili oprowadzający nas mnich pokazał nam książkę – Henryk Sienkiewicz – „Quo vadis”, oczywiście w języku wietnamskim... Czegoś takiego, gdzieś tam w górach porośniętych dżunglą, nie spodziewałem się. Wizyta w tym klasztorze sprawiła nam ogromną radość. Nie tylko mieli u siebie te polonica, ale doskonale wiedzieli, że to właśnie są polonica! Zaskakujące, bardzo nam miłe.

Któregoś dnia musiałem polecieć do Hanoi (Wietnam Północny), bo tam córka attache wojskowego Rosji doznała urazu kolana. Załatwiono mi przelot samolotem amerykańskim – razem z Amerykanami; latali każdego tygodnia do Hanoi w ramach Dwustronnej Komisji Poszukiwania Zaginionych – USA i Wietnamu Północnego. Na lot-

nisku w Hanoi zaopiekował się mną polski attache kmdr Pałuczak – znałem go z Polski, swego czasu był on szefem lotnictwa Marynarki Wojennej. Hanoi było wymarłe, jeździły wyłącznie rowery i sporadycznie kiepski tramwaj. Raz przejechał samochód osobowy zapewne z jakimś dygnitarzem, zapewne partyjnym lub rządowym (prywatnych samochodów, jak powiedział attache, w Hanoi nie było). Wszyscy ludzie ubrani byli w jednakowe szare drelichy – wrażenie przygnębiające. Po czasie zrozumiałem dlaczego po zajęciu Południa przez kilka lat nadal istniała granica między Północą i Południem. To były dwa różne światy.

Z Sajgonu leciałem razem z grupą Amerykanów oraz umundurowanymi żołnierzami z Wietnamu Północnego. W stolicy Wietnamu Południowego przebywali pewien czas na wydzielonym i ściśle kontrolowanym skrawku bazy Than Son Nhut, jako delegacja do wymienionej Komisji Dwustronnej. Żyli tam niezwykle skromnie, zamknięci i szczelnie izolowani od stacjonujących w bazie wojsk amerykańskich i wojsk Wietnamu Południowego. W drodze powrotnej tym samym samolotem do Sajgonu udawała się kolejna zmiana z Północy. Na pokład zabrali wiele koszy przeróżnej zieleniny oraz drób w klatkach i worki ryżu – obraz strasznej nędzy. Amerykanie w Hanoi zamieszkali w przyzwoitym hotelu pod „ochroną” Wietnamczyków. Widziałem ich także, w ubraniach cywilnych, z opiekunami, na spacerze w centrum Hanoi, szli z zakupami – co i gdzie kupili, nie mam pojęcia (może w jakimś sklepie rządowym?).

Przywykłem do języka angielskiego i podczas badania córki attache rosyjskiego byłem zaskoczony jak trudno rozmawiało mi się w języku Puszkina. Ratował mnie mój gospodarz. U dziewczyny były objawy uszkodzenia łąkotki przyśrodkowej w kolanie – zaleciłem jej podróż do Moskwy; wydawało mi się, że w Hanoi dobrego szpitala nie znajdzie się. Co było dalej z tą dziewczyną – tego nie wiem.

Podróż samolotem w każdą stronę trwała po kilka długich godzin – samolot wylatywał nad morze i lecieliśmy z dala od lądu. Podobno odległość z Hanoi do Sajgonu wynosiła ponad 1000 km (nigdy tego nie sprawdzałem).

W lutym 2020 r. zająłem do materiałów o ICCS zamieszczonych w Internecie.

W kilku miejscach ze zdziwieniem czytałem co pewien autor w swych (?) wspomnieniach miał do powiedzenia – m.in. o terrorze i zbrodniach Amerykanów, o dzielnych partyzantach Viet Cong, o powszechnej

Wspomnienia z odległych już lat / Refleksje – Marudzenie o Szopenie

nienawiści mieszkańców południa do Amerykanów, o autentycznym oczekiwaniu tych mieszkańców na wyzwolenie przez Wietnam Północny. Co za brednie! Pisał to chyba jakiś niereformowalny komuch...

Tam, w Wietnamie nie prowadziliśmy rozmów o ówczesnej sytuacji politycznej. Czasem mówiło się o sytuacji militarnej, najczęściej o rodzinach, dziewczynach, o planowanych zakupach pamiątek. Z moimi kolegami lekarzami rozmawialiśmy o chorobach i „przypadkach”, wzajemnie się konsultowaliśmy (mieliśmy różne specjalizacje medyczne). Byłem w szpitalu amerykańskim w Sajgonie lub w szpitalu wojskowym armii Południowego Wietnamu w Can Tho. W końcu jednak była też zwyczajna lekarska praca świadczona oficerom swoim, jak i oficerom innych delegacji w Komisji oraz rządziej Amerykanom.

Służba, praca w ICCS w Wietnamie, która dała mi możliwość poznania innego, egzotycznego świata, spotkania Amerykanów i ludzi innych nacji, przyrzeczenia im się z bliska, nawiązania z nimi często przyjacielskich kontaktów. Służba tam stała się dla mnie ogromnym doświadczeniem życiowym, na pewno wzbogaciła mnie i nauczyła bardzo wiele rzeczy, miałem tam okazję spojrzeć na świat z zupełnie innej perspektywy.

Wraciałem do Polski z wielkim bagażem pozytywnych doświadczeń. Ale wracałem zupełnie inny,

zmieniony. Wraciałem z bagażem doznań świadka brutalnej wojny. Wielomiesięczny kontakt z wojną, z jej bezwzględnością, z ofiarami tej wojny toczonych na frontach i w terrorystycznych, niezwykle krwawych walkach i atakach partyzanckich, głęboko zapadł mi w pamięci; dotknął samego dna mego „ja”, przeorał to moje „ja”, zmienił moją mentalność, po prostu mnie zmienił. I tak jest do dzisiaj.

Wydarzenia tamtych miesięcy często wracają w mych snach, ciągle powracam tam w swych myślach, prawie każdego dnia, choćby przez chwilę, tam jestem... Świat się zmienia, także sam Wietnam, a ja mimo upływu bardzo wielu lat – już ponad 45, ciągle tam powracam, ciągle tam jestem...

Już żadne inne doświadczenie życiowe nie wywarło na mnie tak znaczącego wpływu, nawet udział w operacji „Pustynna Burza”, czy trzyletnia praca w szpitalu UNIFIL.

W prowadzonym wówczas dzienniku odnotowywałem wydarzenia dzień po dniu. Jest tego bardzo wiele i nie sposób te informacje pomieścić w tym wycinku swych wspomnień.

„Raptularz wietnamski” – dziennik, to znacząco odmienne i znacznie szersze zapiski czynione każdego dnia.

plk w st.spocz. dr n. med **Bogdan Sleboda**
III kurs WAM

Piechotą do lata

OWRP – Ogólnopolski Wysokospecjalistyczny Rajd Pieszy to coroczna, główna impreza turystyki pieszej w Polsce, organizowana kolejno przez oddziały wojewódzkie PTTK od roku 1959. W roku 2021 odbędą się 62., na Ziemi Radomskiej. Różnorodne trasy, od dziecięcej aż do trasy dla doświadczonych „starszaków”, w której to grupie startowałem i ukończyłem w latach 2013, 2014 i 2015.

W roku 2016 szło mi się bardzo źle, po kilku dniach zrezygnowałem, nie wiedząc, co się ze mną dzieje, ale niebawem zorientowałem się i teraz pozostaje mi pieścić wspomnienia o OWRP. Stara zasada medyczna „nie ma ludzi zdrowych, są tylko nie zdiagnozowani”, dotknęła i mnie. „Tak dobrze żarło i zdechło!” – to ludowe. Ponieważ po ukończeniu 50. roku życia energia mnie wprost roznosiła, zapisywałem się na trasy najdłuższe, czyli liczące około 300 kilometrów w rajdzie 14-dniowym. Plecaki duże, w granicach 20 kilogramów, plus namiot,

„Do lata, do lata, do lata’
Piechotą będę szła”

(Beata, Jarosław Kozidrak
Zespół Bajm, 1978)

organizatorzy wozili samochodem, plecak „podręczny” zawierający picie, jedzenie i rzeczy niezbędne, na własnych plecach. Po czterech zimowych „Suwalskich Szkołach Przeżycia” byłem zorientowany po co i dokąd idę, sprzęt był odpowiedni do pory roku, czyli na pierwszą połowę lipca, „umundurowanie” polowe amerykańskie, wyjątkowo wytrzymałe i praktyczne, buty prawdziwie turystyczne firmy „Haix”, bambusowy „kij pielgrzyma”, zastąpiony z czasem przez alpejskie kije trekkingowe, bielizna termoaktywna. Z roku na rok coraz więcej wojskowych wynalazków przechodziło „do cywila”, tak jak na każde hobby można było wydać majątek. Ten pierwszy mój OWRP na trasie Skarżysko Kamienna – Warka wspominam najlepiej, był wyjątkowo dobrze zorganizowany, tereny piękne, zahaczający o moje rodzinne Puławę. Uczestnicy przeróżni, zawodo-



wo od Sasa do Lasa, lekarzy dwoje, ze mną, jeśli chodzi o wojskowych, byłem jedyny i najstarszy stopniem. Sporo było „weteranów” OWRP, sporo nowicjuszy. Rajdy letnie są wyraźnie bardziej dla ludzi niż zimowe, jest gdzie usiąść, nie trzeba tyle dźwigać na sobie. Starsi stażem uważają, że im gorzej, tym lepiej, ale mycie się wodą z węża rzuconego na klepisko i rozbijanie namiotu na zaranym polu niczemu nie służy, oprócz umordowania. Ale to były, na szczęście, wyjątki. Na przedpolu twierdzy Dęblin, we wsi Zajezerze, gdzie po koszarach przedwojennego 28. Pułku Artylerii Lekkiej pozostał piękny blok oficerski, pomiędzy niewielkimi chałupinami, umyć się nie było gdzie, szkoła w remoncie, najbliższe miejsce było w odległej o 2 kilometry Wiśle. Etap był długi, upalny, byłem tak umęczony, że czułem obrzydzenie do samego siebie. Myślałem, że utopię się we własnym pocie. W kiosku spożywczym skierowano mnie do księdza na plebanię. Przedstawiłem się regulaminowo i po chwili kąpałem się w prawdziwej wannie z ciepłą wodą i pachnącym płynem do kąpieli. Księdzu podziękowałem „za uratowanie mi życia”. Potem przez kilka lat dziękowałem mu za pośrednictwem mojej pacjentki, aż do dnia, kiedy ksiądz został przeniesiony. W ramach znanej swego czasu akcji „Lud z wojskiem, wojsko z ludem”, na trasie można było wymienić poglądy przed sklepami GS lub już prywatnymi, gdzie miejscowy lud, na ławkach jak w serialu „Rancho”, przy „wisience” – butelka 1,5–2 litrowa o smaku wisienki i nieznanym dodatku alkoholu, ale po wypiciu pół butelki zaczynało „trzepać”, roztrząsał problemy polityczne i egzystencjalne, można było zacieśnić sojusz „miasta ze wsią”. Nastawienie „miejscowych” do nas było przychylne, „– Dokąd idziecie?”, „– Do Warki!” „– Taki kawał! Panie, ale po co?”. Ponieważ często chodziłem sam, zdarzało mi się zabłądzić i w upale przejść 35 kilometrów. Gdy dotarłem, resztką sił, z przyzwyczajenia rozstawiłem namiot, w kolejce do lodowatego prysznica odstałem około godziny, nikt nie zwrócił uwagi na burzę z piorunami i ulewą. Kąpiel przypominała wbijanie lodowatych sztyletów w obolałe mięśnie. Jak to dobrze, że czekał na mnie namiot suchy w środku. Dwie godziny wspaniałego snu pozwoliły na aktywny udział w towarzyskiej „kolacji na trawie”, na bazie żołądkowej gorzkiej. Przed oczami stanęły sceny poligonowe z naszych stu-

diów w Wojskowej Akademii Medycznej, Naszej Nieboszczki Akademii przy ulicy Źródłowej 52 w mieście Łodzi, gdzie nabieraliśmy tężyzny fizycznej i ogłady wojskowej, dzięki której na każdej trawie czuliśmy się jak w domu. Kiedyś spotkałem zgraną grupę turystów z przychodni w m. Białystok, urzędników, bardzo wesołych, jak to z Białegostoku. Szefował im pan, uderzająco podobny do min. Romualda Szarembietewa, ubrany po wojskowemu, miał cechy wojskowe. Zapytałem, czy jest związany z wojskiem? „– Nie, a dlaczego pan pyta?”, „– Bo ma pan taki głos dowódcy”, „– Nie dowódcy, ale odwódcy” usłyszałem w odpowiedzi. Poznałem matkę, lekarza neurologa, nieco starszą ode mnie, jej siostrę, diagnostę medycznego i córkę, po doktoracie z matematyki, która, oczywiście, dowodziła, z mapą na desce, zupełnie jak u Bieglego. Podejrzewam, że dzisiaj mogłaby zrobić karierę w WOT (Wojskach Obrony Terytorialnej). Bardzo ciekawe rozmowy, ciekawe osoby, młody stolarz zbudowany jak Apollo Belwederski, obsesyjnie grający w toto-lotka, bardzo bliski opracowania systemu, w czasie trzech OWRP z jednakowym, spokojnym entuzjazmem opowiadający, jak konstruktor perpetuum mobile, że jeszcze chwila, że jeszcze jedna próba, brakuje mu 20 000 złotych i „rozbija bank”, a póki co zbierał, kupował suche bułki i oranżadę, bo musiał coś jeść. Ale mowa pełna wiary, jasne spojrzenie w świetlaną przyszłość. Sporo osób samotnych, spragnionych towarzysztwa, nieśmiałych, z widocznymi kompleksami, sporo osób idących „na wynik”, aby poprawić swoje samopoczucie, poprawić samoocenę. Część zdobywała kolejne odznaki rajdowe, część „chłoneła” przyrodę, wędrując ocieraliśmy się o historię, Polana Langiewicza z Powstania Styczniowego, późniejszy Wykus majora „Ponurego”, zwiedzając słynny Wąchock trafiliśmy na przygotowania do zwijania na noc asfaltu. Mieszkańcy do tych opowieści podchodzą z uśmiechem, więcej dowcipów, więcej turystów. Na trasie często byłem zapraszany na herbatę, na ciasto, nawet badałem pacjentów, bo był to okres „przedfunduszowy” i było nieco normalniej. Ani zawodu, ani stopnia wojskowego nie kryłem, to zjednywało ludzi. W tzw. terenie lekarz wojskowy „to nie jest ani lekarz, ani wojskowy” to jest po prostu dobry lekarz. Ludzie nie wymagają operacji na otwartym sercu wykonanej scyzorykiem wielofunkcyjnym „Victorinex”, ale po prostu rozmowy, a to można przeprowadzić bez specjalistycznego sprzętu, wystarczy wysłuchać ze zrozumieniem. A jeśli dodatkowo lekarz z Warszawy, to ho, ho, ho!!!

Włodzimierz „Wowka” Kuźma
Kurs VIII „Ciemnioków”

M.p. 10.04.2021

1055 rocznica Chrztu Polski

**ppłk dr n. med.
Janusz Wejgert**

**Współzałożyciel STR
VERBUM WAM**

22.05.1935–01.10.2020

Janusza spotkałem po raz pierwszy na komisji lekarskiej w Otwocku w 1957 r. Obaj byliśmy żołnierzami służby zasadniczej, więc Komisja nie miała wielkiego kłopotu, aby uznać nas za zdolnych do studiów w WCWMed. Spędziliśmy z sobą kilka godzin i już wówczas napomknęliśmy coś o utworzeniu na studiach zespołu artystycznego, ale mieliśmy przed sobą jeszcze egzaminy wstępne. Zostaliśmy jednak przyjęci i prawie od pierwszych dni studiów wróciliśmy do tego tematu, nie zrażając się brakiem zgody przełożonych. Otrzymaliśmy ją dopiero na drugim roku studiów w jesieni 1958 r. Działalności

w tym zespole omal nie przypłaciłmy wydaleniem z uczelni – m.in. po kontroli z GZP MON (na wniosek „Wojewódzkiego Urzędu Kontroli Publikacji, Prasy i Widowisk” – czyli politycznej cenzury). Skończyliśmy jednak studia i zostaliśmy skierowani do jednostek wojskowych, a następnie do szpitali – Janusz do Wrocławia, a ja do WIML. Po ukończeniu służby wojskowej Janusz prowadził własny gabinet ginekologiczny we Wrocławiu. Po długiej chorobie odmeldował się na wieczny dyżur w październiku 2020 r. – pozostawiając w żałobie Żonę Reginę i Syna Roberta. Wiem, że spełnienie tej szczególnej prośby jest „nietypowe”, ale teatr VERBUM i jego członkowie też nie byli „typowymi” podchorążymi. Bardzo proszę o spełnienie mojej prośby. Janusz spoczywa na cmentarzu w Łodzi (przy ul. Szczecińskiej), a więc w mieście w którym powstała i przez blisko 40 lat z chlubą działała nasza ALMA MATER, a przy Niej nasz teatr VERBUM.



Odpoczywaj Janusz w pokoju. Nasze plany i marzenia spełniły się. VERBUM z biegiem czasu rozrósł się, oprócz zespołu kabaretowego powstały zespoły: dramatyczny, recytatorski, chór i zespoły instrumentalne. Może – odrodzi się jeszcze nasza Alma Mater, a z Nią VERBUM (Novum)...

Łączę wyrazy szacunku

plk w st. spocz. dr n. med.
Kazimierz Kuska

Zachowajmy Ich w naszej pamięci



Śp.
lek. Ryszard Furmanek
24.01.1941–22.02.2021

Śp.
lek. dent. Tadeusz Puchała
11.04.1943–9.03.2021

Śp.
lek. Jacek Dyrdula
18.06.1965–28.03.2021

Śp.
lek. dent. Zenon Łazęcki
17.09.1937–29.03.2021

Śp.
lek. Wieńczysław Zdaniewicz
4.07.1960–2.04.2021

Śp.
dr n. med. Grzegorz Grande
24.07.1947–13.05.2021

Włodzimierz „Wowka” Kuźma

Drgający płomień lampady*

**Łampada – „wieczny ogień”, lampka oliwna lub elektryczna, płonąca przed ikoną*

Minęła północ, niebo w groźnych chmurach,
Błyska złociście drgający płomień lampady,
Rzymskie kohorty w groźnych purpurach,
Na forum szczęk oręża i mówców tyrady.

Światło słońca odbija się w zbroi łuskowej,
Na desce ikony jasny, kojący błękit nieba,
W pyłe drogi zły duch w skórze węzowej,
Szuka swej ofiary, gdyż tego mu trzeba.

Tu góry brązowe, w dali dachy świątynne,
Cały kolorowy krajobraz na jednej ikonie,
Procesja starców przez piaski pustynne,
Blask oczu brązowych, ascetyczne dłonie.

Idą spokojnie, wprost ku przeznaczeniu,
Idą milczący, wzrok ich wbity w ziemię,
Każdy torbę żebraczą trzyma na ramieniu,
Cicha nadzieja w każdym sercu drzemie.

W małej, ascetycznej pustynnej pustelni,
Jest czas na myślenie, rachunek sumienia,
Ich życie tak pracowite tutaj się wypełni,
Na zwojach pozostają ichnie przemyślenia.

Tutaj czas niby stoi, chociaż ciągle płynie,
Tu właśnie nie istnieją podchody, roszady,
Wśród dymów kadzidła, w spokoju krainie,
Twe emocje koi drgający płomień lampady.

(02.06.2021)

Rapsodia Gdynńska

Zbigniew (Komandor) Jabłoński



„Rapsodia Gdynńska”

Zbigniew Jabłoński

Wydawca: Oficyna Verbi Causa

Zbiór wierszy o Gdyni i o ludziach ją budujących w przeszłości i teraz.